Nr. 48. Warszawa, dnia 2 Grudnia (20 Listopada) 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od Redakcyi.

Przyjaciołom **Prawdy**, *którzy jej przyjaciołmi nadal pozostać pragną, przypominamy nadchodzący termin noworocznej przedpłaty. Wczesne nadesłanie jej jest dla nas bardzo pożądanem ze względu na możność określenia nakładu. Ponieważ dzieło Huxleya zostało w oryginale ukończone, więc w dodatku bieżącym wyjdzie dalszy ciąg* ***Zasad fizyologii***, *której poprzednie (22) arkusze abonentom naszym odstępujemy za rs. 1, a z przesyłką pocztową rs. 1 k. 15. W roku przyszłym wychodzić będzie dalej* ***Historya filozofii nowożytnej***. *Nowi prenumeratorzy, zgłaszający się bezpośrednio do naszej Administracyi, mogą na żądanie otrzymać wydrukowane dotąd arkusze tego dzieła za kop. 50, z przesyłką kop. 60.*

POLITYKA.

KŁOPOTY WŁOSKIE.

Rzecz dziwna, że tego rodzaju wrzody, jak panamski we Francyi i bankowy we Włoszech, pomimo dojrzenia i głębokich nacięć, nie wywnętrzniają się odrazu, lecz bardzo powoli. Przypomnijmy sobie, ile to potrzeba było „odkryć,“ zanim dotarto do dna sprawy panamskiej, jeżeli wogóle o dnie tej przepaści mówić można. Toż samo powtarza się w „panaminie“ włoskiem. Pół roku przeszło ciągnie się proces „Banku rzymskiego“ i wydobywanie na wierzch jego zgnilizny, a dotąd nie wiadomo, czy owa stajnia Augiasza-Tonlonga jest już całkowicie oczyszczona. Świeżo komisya, wyznaczona do zbadania akt owego banku, ogłosiła swoje sprawozdanie, w którem naprzód stwierdza, że rząd za trzech ostatnich ministeryów zataił pewne dokumenty lub ich odmówił sądowi, a następnie wykazuje szereg dłużników banku, zajmujących wysokie stanowiska i widocznie opłacanych za to pobłażanie nadużyciom Tonlonga. Pomijamy Depretisa, który pożyczył 3 mil. fr. i zwrócił je, Crispiego, który za 150 tysięcy fr. oddał 55, Rudiniego, który został winien 50 tys., Nicotera, który na weksel zaciągnął 40 tys., Giolittiego, który na pokrycie uroczystości genueńskich wziął 60 tys., a na nieoznaczone cele 40 tys., pomijamy tych panów dlatego, że albo długi swoje spłacili, albo też tłomaczyć się mogą (i tłomaczą się), że czerpali z kas, jak wszyscy ludzie, którzy potrzebują pieniędzy. Gorzej przedstawia się „conto posłów.“ Ci — jak Zerbi, Sandonato, Narducci, Menotti Garibaldi i cała banda innych brali poprostu „stuligębne,“ sprzedawali swoje głosy a z nimi sumienie za dmuchanie w ogień, przy którym Bank rzymski piekł swoje pieczenie. Jakkolwiek frymark taki jest ohydnym, dalecy jesteśmy od przypuszczenia, że on wpłynie na czystość Izby włoskiej i wogóle na fabrykacyę przedstawicieli narodu. Po przekreślonych tego rodzaju rachubach we Francyi, gdzie naród nie wybrał... oskarżycieli w sprawie panamskiej a oskarżonych w znacznej części powołał do parlamentu, byłoby wielką naiwnością mniemać, że inaczej będzie we Włoszech. Zresztą tam obecny mechanizm wyborczy, używający wszelkich środków durzenia i ogłupiania głosującego tłumu tak skutecznie, że nawet osławiony handlarz orderami, Wilson, wyszedł z urny, sam ten system uniemożliwia zabezpieczenie mandatów poselskich dla czystych dusz i rąk. Pomimo wszystkich doświadczeń będą one zawsze dostawały się kpom lub łotrom, posiadającym dość złota do obładowania niem osła Jugurty, który — jak wiadomo — przełaził przez najwyższe mury. Z tej więc strony ogłoszona lista „komisyi siedmiu“ żadnej poprawy w stosunkach włoskich nie sprowadzi, a nad najładniejszym snem zastanawiać się nie warto. Nadużycia jednak bankowe oddziałały na położenie ekonomiczne kraju, który musi co prędzej wyjść z niego pod groźbą ruiny finansowej. Włochy znajdują się dziś w bankructwie. Ani pobór cła w złocie, ani sztuczne ratowanie kursu papierów publicznych, ani wiele zalecane a mało wykonywane oszczędności nie zdołały zmienić smutnego stanu rzeczy. Militaryzm wysysa ostatnie soki z narodu ubogiego, zobowiązania polityczne i względy bezpieczeństwa nie pozwalają usunąć tego Molocha, a u steru państwa stają ciągle ludzie miernych zdolności, którzy starają się trudne zadanie zagadać, nie umiejąc go rozwiązać. Ostatnio odgrywał tę rolę Giolitti. Nie gorszy i nie lepszy od Rudiniego lub wielu innych kandydatów do prezydentury ministeryalnej, których nigdy i nigdzie nie zbraknie, prawił on dużo o blizkiej nadziei zrównoważenia budżetu i „przywróceniu potęgi finansowej Włoch,“ ale zapadł się w bagno sprawy „Banku rzymskiego,“ zanim zdołał swoich rodaków przekonać, że w jego programie są „słowa, słowa i nic więcej.“ Biedny król Humbert, biały kwiat na czarnem tle swego otoczenia, zaprosił kolejno do siebie wszystkich „mężów dorosłych do sytuacyi,“ wiecznych rezerwistów ministeryalnych, którzy pozostają w zapasie i czekają sposobności do zatkania niemi dziur, dopóki ich silniejszy wiatr stamtąd nie wypchnie. Monarcha naradzał się z nimi, pytał, badał, naturalnie jednemu z nich (podobno Zanardelemu) powierzy utworzenie nowego gabinetu, ale ten tylko przewlecze chorobę. Ci panowie, używani niejednokrotnie do kierowania nawą państwową, pokazali już, co umieją i czego po

nich spodziewać się należy. Gdyby którykolwiek z nich, jak Verdi, był genialnym za młodu, możnaby przypuszczać, że ze swej starości wykrzesze jakieś świeże iskry natchnienia. Ale niestety, żaden nie był ulubieńcem bogów i świętego ognia od nich nie otrzymał. Zdobędą się na „oświadczenie gabinetu,“ na wytworzenie chwilowej większości i na rozesłanie stereotypowych okólników do mocarstw zagranicznych — ot i wszystko. Po dwu, trzech miesiącach rządzenia runą ze swych stanowisk cicho lub głośno, a za kilka lat tylko ich najbliższa rodzina pamiętać będzie, że kiedyś sprawowali urzędy ministrów.

Taki mniej więcej obrazek ułoży się w kalejdoskopie przesileń gabinetowych włoskich. A bieda, jak gryzła naród, tak go gryźć będzie, a długi, jak go niszczyły, tak niszczyć będą. Pociecha tylko w tem, że nieraz społeczeństwo, które nie mogło urodzić lub dostrzedz genialnych ludzi w szczęściu, rodzi ich nagle lub dopatruje w niedoli.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Tydzień poprzedni obfitował szczególnie w upadki gabinetów. Zawaliły się bowiem aż trzy: włoski, francuski i serbski. Najzabawniej zniknął drugi, gdyż nie obaliła go Izba, ale on sam siebie. Mówiono głośno o tem, że musi się rozpaść, gdyż jest zlepkiem żywiołów sprzecznych — konserwatystów i radykałów, nareszcie obiegła prasę wieść, że ci ostatni podali się do dymisyi. Tymczasem pewnego dnia całe ministeryum zasiadło na swych krzesłach w Izbie. Jeden z deputowanych wstaje i pyta: czy rząd jest w komplecie? Przecież pan widzisz, że jesteśmy tu wszyscy — odpowiada prezes gabinetu Dupuy. A ja wiem — odpiera deputowany—że trzech ministrów już wzięło dymisyę, chociaż jeszcze znajdują się między wami. Zrywa się burza, a prezydujący oświadcza, że Izba nie może dalej obradować wobec niekompletnego gabinetu i że rząd postępuje niekonstytucyjnie. P. Dupuy, „zasypany“ własnem kłamstwem, jedzie natychmiast do Carnota i składa w jego ręce teki ministeryalne. Prezydent Rzeczpospolitej dotychczas nie znalazł dlań następcy (ostatnie depesze twierdzą, że zdecydował się na Spullera), chociaż miał wielką chęć obarczenia tym kłopotem Kazimierza Periera, prezesa Izby, ale ten oparł się wszelkim nalegańiom.

Upadek gabinetu serbskiego naturalnie nie posiada tej wagi, chociaż również zasługuje na zaznaczenie. Dokicz leży ciągle chory, Pasicz, przebywający jako poseł w Petersburgu, ma przeciw sobie Milana, który wywiera wpływ na syna, prawdopodobnie więc nowy gabinet stanie pod komendą Sawy Gruicza.

Anarchiści widocznie postanowili dalej niepokoić świat dowodami swej sztuki i obłędu. W zeszłym tygodniu z Orleanu przybyły pocztą do Berlina pod adresem cesarza i kanclerza dwie paczki z „nasionami rzodkiewki.“ Odbierający je urzędnik powziął podejrzenie, otworzono przesyłki ostrożnie i przekonano się, że zawierały dynamit, który przy pospiesznem rozpakowaniu miał wybuchnąć. I znowu po raz setny zapytać trzeba: czy sprawcy tych zamachów mogą być posądzeni o tyle rozumu, ile go tkwi w rzeczywistem nasieniu rzodkiewki? Co oni przez swój zbrodniczy pomysł spodziewali się osiągnąć? Bo nawet nie mogli przypuszczać, że jakieś pudełka nieznanego pochodzenia otwierać będzie sam kanclerz lub cesarz? Więc im chodziło o zabicie urzędnika pocztowego? Dajmy zresztą pokój pytaniom, bo dla otrzymania odpowiedzi trzebaby wejść na drogę logiki waryackiej. Rozumie się w Orleanie zaczęto śledzić tajemniczych obłąkańców. Gazety francuskie twierdzą, że dopuścili się tego tamtejsi anarchiści niemieccy, ale dopóki nie zostali wykryci, taki domysł uważać należy za chęć zwalenia winy na obcych.

Bomby pojawiły się również w Dublinie. Kto je właściwie przygotował i dla kogo przeznaczył — dotychczas nie wyjaśniono.

Rząd austryacki postanowił na wiosnę rozwiązać parlament i powołać wyborców do urny dla otrzymania od narodu votum ufności dla nowego gabinetu. Jest to projekt bardzo konstytucyjny, ale zachodzi wątpliwość, czy samo ministeryum doczeka wiosny i czy Rada państwa w obecnym składzie nie wykopie mu dołu.

Pomimo wzburzenia opinii publicznej, którą zadowolić by mogły tylko wiadomości o zwycięztwach nad kabylami, rząd hiszpański układa się z sułtanem marokańskim, gdyż widzi jasno, że sam nieprzyjaciół nie pokona. Posyła on coraz wyższych dostojników na plac boju, ale to nic nie pomaga. Kabylowie nie chcą padać od blasku ich mundurów.

Podczas gdy telegraf donosi, że rokosz ogarnął już całą Brazylię, zarazem zawiadamia o zwycięztwach wojsk rządowych. Ta wojna coraz bardziej wygląda na ową z bajki, w której ze stron walczących pozostały tylko... ogony.

BADANIA NAUKOWE.

PRAWO WZROSTU LUDNOŚCI.

Na początku obecnego stulecia Malthus ostatecznie sformułował swoje prawo wzrostu ludności w zestawieniu ze wzrostem środków pożywienia. Ludność — twierdził on — posiada dążność do rozmnażania się w stosunku geometrycznym, środki zaś pożywienia wzrastają w arytmetycznym. W ten sposób przyroda wytwarza więcej istot żyjących, niż przygotowała miejsc na uczcie. Ludzie muszą zatem walczyć o miejsce przy stole, a najlepsze instytucye społeczne nie mogą usunąć tego rozdźwięku, który spoczywa głębiej, ani też nie są odpowiedzialne za nędzę i ciemnotę ludzką. Wojny, mory i inne straszne zniszczenia— to istne dobrodziejstwa, bo przywracają jaką taką równowagę pomiędzy liczbą żołądków do nakarmienia a rozmiarami istniejącej żywności.

Prawo to zostało wygłoszone z całą bezwzględnością, z jaką ekonomia klasyczna wypowiadała swoje sądy. Że ludność wzrasta szybciej, aniżeli środki pożywienia, uznano to za prawdę, obowiązującą wszyst-

---

4)

MINĘŁO...

STUDYUM.

Maryan zaczął prześladować ją po dawnemu. Chodził ulicami, na których ona wraz z matką załatwiała wiosenne sprawunki; jeździł na spacer w godzinach, w których wiedział, że ją spotka; stawał, jak cień, za krzesłem jej w teatrze, na koncertach i zebraniach. Niekiedy w uniesieniu rzucał słowa, z których mogła przypuszczać, iż kocha ją nad życie, a w parę godzin lub w kilka minut później obojętny, szorstki, nachmurzony, obrażał ją każdem odezwaniem się swojem.

Cierpiał, jeżeli ona rozmawiała z kimś innym, nie z nim: dostrzegała to w zmienionym wyrazie jego twarzy, w spojrzeniu pełnem bólu i głuchej rozpaczy, jakie rzucał na nią.

Ilekroć, zdjęta współczuciem, przystępowała do niego z serdecznem, przyjaznem słowem na ustach, uśmiechał się ironicznie lub upokarzał ją szorstką, lekceważącą odpowiedzią.

Co to wszystko znaczyło?.. Wanda, rozmyślając godzinami całemi nad postępowaniem Maryana, nie umiała wytłomaczyć go sobie. Czuła tylko, iż on musi być bardzo nieszczęśliwy, że stacza ponurą wewnętrzną walkę, która nie pozwala mu być sobą, że na dnie jego piersi tkwi coś tajemniczego, co paraliżuje wolę jego i uczucia. Myśląc o nim, cierpiała wraz z nim; żal głęboki ściskał jej piersi: postanowiła być zawsze dobrą i serdeczną dla niego, on jednak nie rozumiał, czy nie chciał zrozumieć tej jej dobroci i drażnił ją jak gdyby umyślnie.

Raz, oburzona za jakąś niegrzeczność, którą wyrządził jej po godzinie szczerej, niemal przyjacielskiej rozmowy, postanowiła zemścić się na nim przynajmniej raz jeden.

Było to na raucie u znajomych, gdzie spotykali się zwykle.

Skinąwszy na jednego z najgorliwszych wielbicieli swoich, Wilskiego, młodego poetę, deklamatora, powiedziała głośno tak, aby Maryan mógł słyszeć każde jej słowo.

— Nudziłam się całą długą godzinę: czy pan zechce uchronić mię nadal od ziewania opowiedzeniem czegoś przyjemnego, coby spędziło sen z powiek moich?

— Służę pani z rozkoszą — rzekł Wilski, podając jej ramię i proponując przejście do sąsiedniego pokoju, gdzie spokojniej, niż w salonie, można było rozmawiać. Usiadłszy następnie obok niej, zaczął opowiadać treść ostatniego swego utworu, który pisał z myślą o niej.

— Pozwoli pani przeczytać sobie kilka strof pierwszych? — zapytał w końcu.

— Proszę, bardzo proszę — odpowiedziała machinalnie z roztargnieniem.

Wzrok jej w tej chwili szukał Maryana. Gdzie on jest? Co robi? Czy nie uraziłam go zbyt ostro? — myślała.

Raz kiedyś w rozmowie z nią zaznaczył, iż życie jest mu najzupełniej obojętne i że czeka tylko chwili, w której zbrzydnie mu ono do reszty, aby odebrać je sobie spokojnie, bez cienia trwogi, prostem przyłożeniem lufy rewolwerowej do prawej skroni.

Jeżeli wziął bardzo do serca przykrość, jaką mu wyrządziłam, to — kto wie?.. może... może...

Roztargniona, nie słysząc głosu Wilskiego, który już czytał poemat swój, rozejrzała się po salonie.

Maryan stał w progu, oparty o framugę drzwi; czoło i brwi miał zmarszczone, oczy zapadnięte i podkrążone siną obwódką; usta jego drgały nerwowo; wstrząsał ramionami i odrzucał w tył głowę, jak to czynił zwykle, gdy był silnie podrażniony.

Przesunąwszy się szybko po lśniącej posadzce salonu, stanęła przy nim.

— Wiem, że pan nie chciał obrazić mnie przed chwilą; wiem, że przykrość, jakiej doznałam z jego strony, była mimowolną... Wybaczmy sobie wzajemnie winy nasze

kie miejsca globu ziemskiego i wszystkie epoki dziejowego rozwoju. Ekonomiści szkoły klasycznej, a potem ich epigoni, przedstawiciele pospolitej nauki mieszczańskiej o ekonomicznych funkcyach życia społecznego, spierali się o drobiazgi w prawie Malthusa (np. w ile lat ludność się podwaja), ale żaden z nich nie powątpiewał o prawdziwości i słuszności jego wywodów. Władza tej doktryny nad umysłami mogła się mierzyć tylko z brakiem istotnych dowodów. Prawo zaludnienia wyprowadzone zostało w sposób intuicyjny, opierało się na dedukcyach a szwankowało w każdej swojej części.

Nie mamy zamiaru badać pocisków, jakie od czasu do czasu rzucano przeciw teoryi Malthusa. Zajmą nas dzisiaj ostatnie fakty i tryskające z nich światło. Życie społeczne w ciągu obecnego wieku we Francyi — niebawem zobaczymy, że nietylko w tym jednym kraju — zaczęło wyłaniać szczególne zjawiska, przeczące najjaskrawiej wszystkim założeniom angielskiego ekonomisty. Ludność wzrasta bowiem coraz wolniej, a w r. 1890, ostatnim, z którego istnieją urzędowe spisy, liczba wypadków śmierci przewyższyła liczbę urodzeń — podczas gdy bogactwo narodowe wzmaga się bezustannie i to coraz szybciej. Wyjmiemy kilka cyfr z pracy pewnego publicysty francuskiego, który świeżo zabrał głos w tej kwestyi. Kiedy w r. 1890 liczba urodzeń na tysiąc mieszkańców wyniosła 21,8, śmiertelność doszła do 22,9; innymi słowy, ludność Francyi zmniejszyła się w bezwzględnej postaci o czterdzieści niemal tysięcy członków, a zatrważające to zjawisko przybrałoby jeszcze znaczniejsze rozmiary, gdyby nie płodność cudzoziemców, którzy licznie osiadają i przyczyniają się do zapełnienia luk swojem potomstwem. „Depopulacya“ Francyi zresztą jest rzeczą ogólnie wiadomą, abyśmy się mieli nad nią zastanawiać. Natomiast mniej znanym jest fakt równoległego wzrostu wytwórczości, a w niej środków pożywienia, przypadających na pojedynczego obywatela kraju. Odbywa on się we wszystkich dziedzinach produkcyi. Produkcya zboża za okres czasu 1821 do 1890 podniosła się o 102%, między innemi przyczynami także skutkiem większej wydajności tego samego kawałka gruntu: podczas gdy w 1821—1830 hektar wydał około 11 hektolitrów, w ostatniem dziewięcioleciu cyfra ta podniosła się do 15. O hodowli bydła i połowie ryb nie będziemy przytaczali danych statystycznych w krótkim artykule, posiadających zawsze tę właściwość, że nużą czytelnika i jednocześnie ani o krok nie posuwają wymowności dowodów. Konsumcya cukru za wymieniony okres wzrosła dziesięćkrotnie, kawy — niemal sześć razy, wina — półtora itd. O podniesieniu się produkcyi fabrykatów nie mówimy, gdyż o tem nawet najzapaleńsi wyznawcy Malthusa rzadko kiedy powątpiewali. Bogactwo narodowe, ocenione w skali pieniężnej, jedynie za ostatnie dwudziestolecie podniosło się o 60%. Jeżeli jeszcze weźmiemy siłę motorów parowych i innych, jakimi rozporządza Francya i zamienimy ją na ludzką, wtedy okaże się, że przed laty pięciu na każdego francuza, zarówno małoletniego, jak zgrzybiałego, zarówno płci męzkiej, jak i żeńskiej, przypadło 2,78 niewolników z żelaza, pracujących dla niego i wyręczających go. A ponieważ przeciętna rodzina składa się z pięciu członków, przeto w abstrakcyjnym rozpodziale posiada aż 14 takich martwych istot. Czy starożytne państwa mogły się poszczycić podobnymi rozmiarami służby — karnej i uzdolnionej?

Co mówią te fakty? Świadczą one wyraźnie, że Francya w ciągu wielu dziesiątków obecnego stulecia rozwija się w sposób, który zaprzecza wszystkim wywodom Malthusa. Jakie działały tam pobudki, które skłaniają rodziców do wstrzemięźliwości w zakresie posiadania licznej rodziny, nie będziemy tego analizowali. Jest to dla nas rzecz zgoła obojętna. Najważniejsze to, że ludność przybywa wolniej, aniżeli środki żywności. Ale pojedynczy kraj nie przemawia jeszcze z dostateczną mocą przekonywającą. Wyjątki wszędzie istnieją — może ktoś nam odpowiedzieć, — niepodobna przypisywać im poważniejszego znaczenia. Ktoś inny może do tego dorzucić mnóstwo obelg na francuzów i na upadek u nich patryotyzmu. Zwłaszcza prasa niemiecka jest nadzwyczaj skora do takich urągań. Ale bądźmy ostrożni z pospiesznym sądem! Albowiem w gruncie rzeczy Francya przedstawia, jak dotychczas, najjaskrawszy tylko objaw ogólnie istniejącej dążności. Wszędzie ludność wzrasta coraz wolniej, a jeżeli Francya przestąpiła już ów próg, po nad którym widnieje napis: „depopulacya,“ to znaczy, że rozwój w niej odbywa się szybciej, aniżeli w innych krajach Europy. Ktoś świeżo napisał studyum o tej sprawie i zestawił porównawcze cyfry z rozmaitych okolic Europy. Porównał on różne lata za dziesięciolecie 1880—1890. Z jego pracy weźmiemy dwa lata krańcowo, mianowicie 1879 i 1890. Otrzymamy wtedy następującą tabliczkę (cyfry wskazują liczbę urodzeń na 1000 mieszkańców).

	1879	1890	ubytek.
Anglia z Walią .	34,7	30,2	4,5
Szkocya : . .	34,3	30,2	4,3
Szwajcarya , .	30,5	26,6	3,9
Niderlandy . .	36,6	32,9	3,7
Niemcy . . .	38,9	35,7	3,2
Francya . . .	25,9	21,8	3,2
Belgia	31,5	28,7	2,2
Szwecya . . .	30,5	27,7	2,8
Prusy	39,2	36,6	2,6
Austrya . . .	39,2	36,7	2,5
Norwegia . . .	32,0	30,7	2,0
Węgry	45,0	43,7	2,0
Irlandya . . .	25 2	22,3	1,9
Włochy . . .	37,6	35,4	1,7
Dania . . . ,	32,5	30,6	1,4

Tabliczka ta wymownie świadczy, że w obrębie Europy skala wzrostu ludności zmniejszyła się wszędzie, a gdybyśmy zamiast krańcowych ogniw wzięli rok za rokiem, otrzymalibyśmy ten sam rezultat, chociaż wypowiedziany nie z taką siłą. Francya, pod względem wyludniania się, zajmuje nawet nie pierwsze miejsce. Nadto przytoczona tablica unaocznia jeszcze rzecz inną, mianowicie zależność wielkości wyludniania od rozwoju wielkiej industryi. Im kraj jest bardziej posuniętym ekonomicznie, im bogactwo narodowe wzrasta w nim szybciej, tem widmo depopulacyi zbliża się gwałtowniej! Jeszcze lat kilka, może kilkanaście, a głosy, ubolewające nad losami Francyi, rozlegać się będą i w innych krajach...

Bogactwo narodowe się zwiększa, tymczasem stopa wzrostu ludności spada — oto jest zjawisko, rządzące rozwiniętymi, przemysłowymi i bogatymi krajami Europy. Pozostaje ono w zupełnej sprzeczności ze wszystkimi wywodami Malthusa. Zasad, według których odbywa się ten szczególny rozwój tegoczesnej cywilizowanej ludzkości, jeszcze nie znamy, sam fakt bowiem uwidocznił się od niedawna. Jeden wniosek możemy tylko postawić, a mianowi-

---

i... bądźmy przyjaciołmi na zawsze — rzekła, wyciągnąwszy doń rękę.

Nic nie odpowiedział, ścisnął ją tylko nerwowym skurczem dłoni; w oczach jego błysnęły dwie łzy, które skrył, odwróciwszy się nagle.

Tego wieczora nie rozmawiali ze sobą zupełnie; Maryan wymknął się niepostrzeżenie; ona wróciła na poprzednie swoje miejsce, gdzie już nie zastała poety.

Salon wraz z zawieszonym na środku sufitu żyrandolem i szeregiem płonących kandelabrów, grupy mężczyzn i kobiet, spacerujących po miękich dywanach i wywoskowanej posadzce, wszystko to zawirowało nagle w jej wzroku. Była jakby pijana i odurzona. Własne słowa, wypowiedziane przed chwilą, brzęczały w uszach jej dziwnie nieprawdopodobnym szmerem, mieszając się z gwarem salonu w głuche, niewyraźne, a jednak rytmiczne tempo, rozpierające skronie.

Co to wszystko znaczyło? — nie rozumiała nic zgoła.

Nie kochała Maryana, czuła się jednakże popychaną ku niemu dziwną, niepojętą siłą.

Treść kilku wyrazów, jakimi zagadnęła go przed chwilą, teraz dopiero uprzytomniła się w umyśle jej całkowicie. Przystąpiła do niego bezwiednie, odruchowo, tak samo bezwiednie, odruchowo wyciągnęła doń rękę.

Do czego podobny automatyzm mógł doprowadzić ją w końcu?..

Dręczący gorączkowy niepokój wstrząsnął nią. Tak dłużej trwać nie mogło. Podobna rozterka uczuć mogła wpędzić ją w waryactwa; raz musiało skończyć się to wszystko...

— Jutro, pojutrze najdalej rozmówię się z nim: jeżeli mnie kocha...

Salon wraz z jaskrawym żyrandolem i szeregiem płonących kandelabrów coraz silniej wirował w jej wzroku.

— Poświęcę się dla niego: zostanę dobrą, serdeczną jego przyjaciołką: musi być bardzo, bardzo nieszczęśliwy — myślała, wachlując się nerwowo.

Łzy napływały jej do oczów; na piersi opadał gniotący ciężar: byłaby chciała umrzeć w tej chwili, albo zamienić się na kłodę drzewa bez czucia.

— Jestem zmęczona, mateczko; głowa rozbolała mię nagle: wróćmy jak najprędzej do domu — rzekła, przystąpiwszy do matki w chwili, kiedy służący, otwierając drzwi jadalni, zwiastował podanie kolacyi.

W progu salonu Wilski, obrażony, pożegnał ją sztywnym ukłonem: nie widziała go; nie pamiętała, kto z młodzieży sprowadził ją i matkę na dół do karety. Oprzytomniała dopiero, gdy konie ruszyły i turkot kół rozległ się na bruku ulicy.

Wsunięta w głąb karety, wodząc wzrokiem machinalnie po drgających płomykach mijanych co chwila latarni, myślała:

— Jutro, najdalej pojutrze, napiszę do niego: musi przyjść do mnie, rozmówię się z nim...

W oczach jej błyszczało silne, niezłomne postanowienie: uspokoiła się, powziąwszy je: wolała najprzykrzejszą rzeczywistość od ciągłego szamotania się w dręczącej niepewności.

Jutro, najdalej pojutrze będzie wiedziała, co ją czeka. Jeżeli Maryan kocha ją, stanowczo zostanie jego żoną: może z czasem przywyknie do niego, może oswoi się z dziwactwami, które przerażają ją dzisiaj...

Siłą woli zwalczała trwogę, jaka opanowywała ją na myśl, iż życie swoje związać by musiała z życiem Maryana. Zbrojąc się w cierpliwość i spokój, logicznie, trzeźwo motywowała powzięte przed chwilą postanowienie sprowadzenia do siebie Maryana.

Było ono w każdym razie dziwaczne i odskakiwało od zwykłej normy postępowania panien „światowych.“

Maryan nie bywał w domu jej rodziców. Wezwanie go listowne stanowiło wykroczenie przeciw ustawom towarzyskim, za które świat mógł potępić ją arbitralnie.

Nie myślała w tej chwili o świecie i jego wymaganiach: odsuwając od siebie przypuszczenie wszelkich trudności, mogących stanąć na drodze jej planom, układała w myślach całą rozmowę z Maryanem.

cie, że dla epoki wielkoprzemysłowej należy dopiero odkryć prawo, rządzące wzrostem ludności. Możemy jeszcze dodać do tego inny szczegół. Własność ziemska na wyspie Jawie opiera się na gminie rolnej, takiej, jaka istnieje w Wielkorosyi. Ludność w r. 1816 wynosiła z górą 4½ miliona głów, a w r. 1886 podniosła się do 22 niemal milionów! Rzecz widoczna, że tamtejszy ustrój inaczej oddziaływa na postępki ludzkie. A zatem prawo wzrostu ludności brzmi odmiennie w różnych miejscach i w odmiennych epokach ekonomicznych.

J. Wojewódzki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA.

Berlin, 21 listopada

Dramat Hauptmanna. — Powieści Lindaua i Suttnerowej.

Możnaby dzisiaj złożyć już antologię całą zdań i poglądów na stanowisko, znaczenie i przyszłość owego ostatnio dobudowanego skrzydła w pałacu literatury pięknej, który nosi miano „Najmłodszych Niemiec“ — zdań przeróżnych, sympatycznych i nagannych, poważnych i drwiących. Jest przecież w tej grupie pisarzy jeden, zazwyczaj do nich zaliczany, mimo to stanowiący wielkość dla siebie, o którym niema zdań różnych, a jest tylko ogólny zachwyt—to Gerhart Hauptmann. Kiedy bowiem nad utworami najmłodszej braci literackiej prawdziwa krytyka literacka przejdzie bez wzmianki, niektóre z dramatów Hauptmanna w dziejach literatury wszechświatowej zajmą stanowisko nie epokowe wprawdzie, ale poczesne, stanowisko, odpowiadające poecie, który potrafił wsłuchać się w tętno czasu, uchwycić główny kamerton współczesnych bólów i radości. To też każdy nowy utwór tego poety stanowi w literaturze codziennej, w sferach teatralnych i wśród jego czcicieli prawdziwe zjawisko. Takiem właśnie zjawiskiem jest nowa komedya „Der Biberpelz,“ wystawiona w „Teatrze niemieckim“ i wydana jednocześnie w książce. Po przeczytaniu jednak „Bobrowego futra“ musimy już z góry przyznać się do wrażenia ujemnego. Proszę bowiem posłuchać. Na przedmieściu Berlina panuje samowładczo niezwykle głupi K. pruski urzędnik policyjny. Żądny sławy i karyery zamierza pan lejtnant rezerwy „oczyścić“ państwowo swoje z wszelkich naleciałości i żywiołów poglądom urzędniczym przeciwnych. Oberżyście, który odnajął salę demokratom, odmawia pozwolenia na urządzenie zabawy tanecznej i zaznaczywszy w taki sposób swe zamiary, przystępuje do większej sprawy, która w mniemaniu jego stanie się kamieniem węgielnym jego zasług dla dobra ojczyzny i wiekopomnej sławy. Mieszka we wsi doktór, który czyta gazety, przyjmuje gości berlińskich, cieszy się przytem w oczach ludności opinią jak najlepszą. O tę więc niewinną osobistość stara się zaczepić pruski policyant haczyk swych podejrzeń. Inna dosyć ciemna kreatura, Mothes, łgarz, podający się za b. leśnego i redaktora — służy mu za agenta, zbierającego pogłoski i ofiaruje mu się dostarczyć świadectwa siedmdziesięcioletniej staruszki o doktorze, który pomaga biednym i radzi potrzebującym w nieszczęściu. Gdy więc oficer pruski broni z bezgranicznem poświęceniem „najwyższych dóbr narodu“, mając oko utkwione w siną dal przywidzeń, nie dostrzega oczywiście, że we wsi, gdzie rezyduje, spełniane bywają kradzieże. Poszkodowanym w obu wypadkach jest skromny rentier miejscowy Krüger, który już jako właściciel willi, zamieszkanej przez znienawidzonego doktora, nie może być miłym sercu lejtnanta, a wydaje mu się już dla tego samego podejrzanym. Nie daje żadnej wiary skargom cichego mieszczanina, który atoli potrafi wobec wszechwładnego lejtnanta i powagę zachować i słowo grubiańskie przy sposobności wypowie. Któż atoli jest istotnym złodziejem? Jest nim bardzo wesoła kumoszka wiejska, żona szypra rzecznego, która z niezwykłym sprytem łączyć umie harmonijnie i czelność niecodzienną i pracowitość rzadko w tym fachu napotykaną. Ona przez całe cztery akty sztuki znajduje się w najbliższej obecności wszystkich, ale tak ująć potrafi każdego dowcipnem słówkiem lub zręcznym zwrotem wykrętnej mowy, że ciosy faktycznych podejrzeń odskakują od opancerzonej Wolfowej daleko, przyczyniając się tylko do ugruntowania jej powagi. Oto są główne osoby komedyi, pociętej zresztą na cztery niezręczne akty, bardzo długie, niepotęgujące wrażenia, a więc zmniejszające siłę pierwszego. Rzeczywiście komicznym jest lejtnant, dobrą jest charakterystyka złodziejki — to grupa jednak ujemna. Ale słabą, prawie że niedostrzegalną, jest sylwetka prawdziwie dodatniej osobistości, doktora Fleischera, który czyni raczej wrażenie ucieleśnionej nieudolności, niż człowieka, w którym ludność miejscowa widzi swego dobroczyńcę i doradcę. Już tem samem materyału do długiej, czteroaktowej komedyi niema: osnowa krótka, zawikłań żadnych, charaktery proste. Zdaje nam się, że utwór ten zyskałby skrócony o połowę: stanowiłby wtedy dobrze uchwycony obrazek fotograficzny rzeczywistości pruskiej, miałby znaczenie publicystyczne raczej, niż artystyczne. W formie dzisiejszej może podobać się na scenie, gdzie aktorzy, grający role lejtnanta policyjnego i Wolfowej, stworzyć mogą postacie komiczne — ale jako książka, jest bez żadnej wartości estetycznej. Zdaje nam się bowiem, że i wielki talent Hauptmanna podlega tym samym prawom, jakie panują w sferze wszelkiego rodzaju twórczości. On, jak i Strindberg naprzykład pracuje zbyt prędko, zaślepiony powodzeniem chwilowem, nie umie śród pomysłów swej poetyckiej duszy odróżnić prawdziwie wartościowych od zwykłych codziennych i rzucając tłumowi liście z wieńca swej chwały, nie widzi, że uschły one, zanim jej do wianuszka wpleść zdołał. Mądra zasada poety rzymskiego, ażeby przez lat dziewięć przerabiać utwory, które muza natchnęła, powinna i poetom doby naszej przyświecać stale. Możeby rzadziej krzyczano o nich, możeby mniej się nad nimi pastwił stujęzyczny drakon dziennikarstwa, ale może mówiliby wtedy do nas grozą błyskawic, jaśnieli nad pobojowiskiem trosk i umartwień promieniem czystym słońca południowego, byliby wielcy, ukochani, jedyni. Cóż począć jednak? Walter Besand obliczał niedawno, że w Anglii powieściopisarzy, „zarabiających“ do tysiąca funtów (10 tys. rs.) możnaby zebrać parę dziesiątków, a są tacy nawet, którzy umieją wy-

---

Miała zapytać go, dlaczego tak dziwnie kapryśny bywa w postępowaniu swojem, dlaczego po chwilach serdecznych, przyjaznych wynurzeń sili się na dobrowolne wyrządzanie jej przykrości?

Miała pytać o to spokojnie, trzeźwo, stanowczo: od odpowiedzi Maryana zależały dalsze jej postanowienia, w każdym razie rozmowa ta musiała być ostateczną.

. . . .

Zmierzch zapadał, rzucając do wnętrza pokoju smugi długich cieni.

Na ulicach zapalono latarnie. Żółtawy ich odblask, pełznąc od strony okna, mieszał się z czerwonawo-niebieskawymi płomykami rozpalonego na kominku ognia, na tle którego migały kontury palm, paproci i filodendronów, ułożonych w wielki klomb pośrodku salonu.

Chodząc po pokoju, Wanda z roztargnieniem patrzyła na powolne łamanie się blasków i cieni. Drżała, jak w febrze. Dwie plamy czerwone wystąpiły na jej twarzy. Niepokój opanowywał ją coraz większy. Spoglądając na wskazówki zegara, posuwające się nieznacznie, myślała:

— Może nie przyjdzie...

Od kwadransa oczekiwała Maryana. W krótkim bileciku, wyprawionym wczoraj, prosiła, aby przybył do niej dnia następnego o godzinie siódmej, w której to porze wiedziała, iż w domu nie będzie nikogo.

Godzina siódma wydzwoniła już dawno, a on nie przychodził.

Tysiące wątpliwości obległo jej umysł: Maryan, kapryśny, niesforny, Maryan, którego postępowania przewidzieć i obliczyć nie było można — Maryan z sarkazmem i ironią mógł odpowiedzieć na bilecik jej lub udać, iż nie odebrał go wcale, a wówczas...

Wanda załamała ręce bezradnie: życie wydało się jej nieznośne, dręczące jak zmora.

Wskazówki zegara posuwały się jakby coraz wolniej; zmierzch już zapadał zupełny, ogień na kominku wygasł, gdy wreszcie w przedpokoju rozległo się gwałtowne, nerwowe szarpnięcie dzwonka.

— Pan Wysocki — zwiastował służący, stając we drzwiach.

— Proś — odparła, drżąc całem ciałem Wanda. Krew zbiegła z twarzy jej; zachwiała się, czując nagły zawrót głowy; zapomniała naraz wszystkiego, o czem miała mówić z Maryanem.

— Pan... pan chory? — spytała, wyciągając doń rękę w chwili, gdy stanął przed nią.

Zdawało się jej, że był blady, zmieniony i tak samo, jak ona, drżał całem ciałem; nic zresztą nie widziała. Krew, która przed chwilą zbiegła jej z twarzy, teraz gorącym strumieniem uderzyła do mózgu, migając we wzroku szeregiem czerwonych i czarnych plam ruchomych.

— Zapal światło! — zawołała na służącego, a gdy Jan wniósł lampę, której blask różowy zalał pokój, dodała:

— Teraz wyjdź, zadzwonię, jeżeli będziesz mi potrzebny.

Chwilę trwało milczenie. Maryan poruszał się nerwowo, wstrząsał ramionami, odrzucał w tył głowę ze zwykłym ruchem, którym zdradzał niepokój i zakłopotanie.

— Pan wybaczy, że wezwałam go dzisiaj w tak dziwny i niewytłomaczony dla niego zapewne sposób: chcę... postanowiłam... mam zamiar...

— Według przepisów świata, w którym obracamy się oboje, znając panią i rodziców jej bliżej, powinienem był oddawna złożyć im uszanowanie swoje.

— Wiem, że szablon męczy pana i że nie stosujesz się do niego nigdy, dlatego mam go za usprawiedliwionego.

— Gdyby wszystko na świecie dokuczało tak, jak tych kilka niedorzecznych wprawdzie, lecz łatwych do zapamiętania ustaw towarzyskiego regulaminu, to jeszcze żyćby można do pewnego stopnia spokojnie i szczęśliwie...

Zdania rwały się. Cisza w pokoju tłumiła słowa na ustach.

(D. c. n.)

C. Walewska.

pisać do czterech tysięcy funtów. Takie dane, które rzucają dużo światła na czarodziejską ustroń twórczości poetyckiej, umieją pocieszyć jednych, rozgrzeszają innych, dla trzecich wreszcie stanowią oskomę. Nie nasza wina, że prócz smutku budzą w nas i żal i tęsknotę za „utraconym rajem“ ideału.

Wypijmy już do dna kielich goryczy, jaki zgotowali nam dzisiaj beletryści niemieccy. I Pawła Lindau ostatni tom nowell (*Vater Adrian und andere Geschichten*, 1894), który jak i dawniejsze powieści tego płodnego aferzysty stołecznego, skompromitowanego niedawno głośnym procesem teatralnym, znajdzie u nas gorliwych czytelników i ostatni (nie ostatni jednak niestety) tom baronowej Suttner, opiewający w nudnej staropanieńskiej formie przewrotność gry hazardowej (*Trente et Quarante*, 1893) stwierdzają tylko wypowiedziany wyżej pogląd. Szczególnie dobrze harmonizuje z nim dostojna przeciwniczka rulety. Przed laty kilku udało się pani baronowej napisać — bynajmniej nie stworzyć — udatny obraz ohydy militaryzmu p. t. „Precz z bronią!“, który potrafił zjednać jej względy publiczności wszystkich krajów i narodów, a przedewszystkiem otworzył serce — wydawcy. Dzisiaj to już jedenasty tom rzuca łaskawą ręką na nieszczęsny stół recenzenta, powieść starą, pisaną jeszcze przed laty dziesięciu, któraby zachowaną została, jako relikwia, w archiwum zamkowem, a dzisiaj ujrzeć musiała światło dzienne. Pochowajmy więc ją przynajmniej z należnymi honorami!

T. K.

LITERATURA POLSKA.

Zofia Kowerska, *Irena.*

Zofia Kowerska obdarzyła nas utworem powieściowym sporych rozmiarów. Ongi, zdając sprawę z jej nowel, przyznaliśmy jej pewien talent w zakresie odczuwania i obrazowania tajników serca niewieściego z warstwy inteligentnej. Talent ów w „Irenie“ nierównie więcej się uwidocznił. Utwór ten nazwać można wystawą tajemnic serca.

Irena Solska liczyła już 34 rok, znajdowała się w pełni rozkwitu piękności, jaśniała wszystkimi urokami z wyższego towarzystwa. Matkę miała z rodu arystokratycznego, ojciec był dorobkiewiczem, człowiekiem próżnym i ambitnym. Dwie córki starsze wychowywał w tym celu, iżby mogły błyszczeć w salonach jako gwiazdy pierwszorzędne. Irena uczuciem młodzieńczem pokochała Boliwę; ten ostatni poślubił jednak starszą jej siostrę, Amelię. Był to pierwszy zawód, jaki dotknął i upokorzył istotę dumną i ambitną. Irena zamknęła się szczelnie w osamotnieniu duchowem, korzystała z wszelkich przyjemności światowych, odsuwając na razie wszelką myśl o zamążpójściu. Starających się było mnóstwo, lecz wszyscy dostawali odprawę. Wreszcie postanowiła poślubić człowieka z rodziny arystokratycznej, majętnego, nie pierwszej już młodości. Powiernicą i jedyną przyjaciółką pogardliwej, zimnej, wyrachowanej, nieprzystępnej Ireny była jej starsza siostra, Amelia, wskutek nieszczęśliwego małżeństwa chora moralnie, egzaltowana i wykolejona. Najmłodsza, Cesia, była uroczem szesnastoletniem dziewczęciem, gdyż wychowano ją w innych warunkach, niż starsze. Troszczyła się i dbała o wszystkich w domu, pilnie zajmowała się dziećmi służby folwarcznej. Siostry wcale nie rozumiały jej upodobań demokratycznych, lecz potem przestały się dziwić, wiedząc, że one nie ujmowały jej ani dystynkcyi, ani wdzięku. Zresztą otoczenie osób kapryśnych uczyniło Cesię poniekąd dyplomatką. Matka pozostawiała dużo swobody córkom i nie wtrącała się do ich uczuć. Przyjaciółką jej była stara panna Józefa, w której bezwiednie szukała pokrzepiającej siły i tego hartu życiowego, na którym jej zbywało. Grono rodzinne dopełniał Lubecki, brat p. Solskiej, „będący na jej utrzymaniu,“ egoista, groźny, zawsze pełen siebie samego aż do brutalstwa. Irena oddychała ciągle przeświadczeniem o potędze swoich wdzięków. Miała niezachwiane przekonanie, że od życia należało się jej wszystko, co ono najlepszego i najpiękniejszego dać może. Ideałem jej była kobieta światowa, władczyni salonów, panująca nad kornym zastępem wielbicieli. Nie miała atoli już młodej żądzy sławy na widowni towarzyskiej. Przylgnęła i zżyła się ze swojem otoczeniem. Poczucie jednak próżni natrętnie dźwięczało w duszy. W myśli pieściła się obrazem jakiegoś rycerza oblubieńca, godnego miłości wielkiej i namiętnej. Przed siostrą często żaliła się nad swojem położeniem. „Wolność kobiety — mówiła — to jest otrząśnięcie się ze wszystkich przesądów, ze wszystkich obyczajów, ze wszystkich nawyknień, ze wszystkich próżności, a ja tem wszystkiem żyłam i żyję. Czyby za mną nie pogonił wszędzie mój strach przed tem, co nie jest *comme il faut*, co nie ma piętna artystycznego wykwintu, co się nie zgadza z tradycyami wielkiego świata.“

Na miłość Eugeniusza, swego narzeczonego, patrzyła z przyjemnością, jak na dzieło własne, które się podoba. W trybie życia Solskich zaszła pewna zmiana. Do domu ich przybył chory mężczyzna, młody, dwudziestoletni chłopiec, wychowanice akademii sztuk pięknych w Petersburgu. Choroby nabawił go właśnie zły klimat stolicy nadnewskiej. Przysłała go pewna ich krewna. Jan Wielewicz zajął bardzo samą panią, panny Józefę i Cesię. Zaczęto go doglądać gorliwie. Skoro choroba przeminęła i Wielewicz mógł już przesiadywać w ogrodzie, Cesia stała się jego towarzyszką i przyjaciółką tkliwą. Pozostała rodzina sarkała na względy okazywane ubogiemu chłopcu. Wreszcie zaproszono go do obiadowania przy ogólnym stole. Irena, póki go nie znała, sarkała na nadmierne opiekowanie się malarzem. Skoro go ujrzała, surowość jej znacznie zmiękła. Wielewicz był przystojny, inteligentny, naturę posiadał uczuciową, niepospolicie artystyczną. Sympatya, jaką Irena od roku powzięła ku niemu, pierwotnie gniewała ją. Słabe zarodki uczucia nie dały się jednak wykorzenić i coraz bujniej się krzewiły. Pewnego razu znalazła go śpiącym w ogrodzie. Coś niezmiernie tkliwego i rzewnego napełniło jej pierś. Czuła dla uśpionego jakieś macierzyńskie porywy, pragnęła uklęknąć obok, schylić się i pocałować jego usta. Razu pewnego Irena ocaliła Jana od psa wściekłego. To ich zespoliło niewidocznym łańcuchem. Jakieś złożone uczucie delikatności, obawy i chęci posiadania wspólnej tajemnicy skłoniło go do zamilczenia o tym wypadku.

Irena znalazła się w dziwnym, niepojętym dla siebie nastroju. Czuła jakąś pełnię pragnień i ochoty do życia. To, co z bólem za niespełnione uważała, spełnić się miało, spełniało się. Wszystkie dawniejsze jej niepewności zniknęły, była pewną szczęścia.

Jan wskutek uczynionej mu obrazy przez Lubeckiego, postanowił wyjechać do Warszawy, ale wskutek prośby Ireny pozostał. Narzeczonego uderzyło to, gdy dostrzegł na jej twarzy miękki, słodki wyraz, którego dotąd nie znał. Tknęło go przeczucie, że w tej duszy coś wyrasta nowego. Tkliwość, napełniająca serce, wnosiła do jej umysłu poetyczny i marzycielski nastrój. Była dojrzałą kobietą, a marzyła jak młode dziewczę. Nie pamiętała, kim był i skąd przychodził jej ukochany, pieściła się tylko jakąś nieujętą nadzieją szczęścia. Sen na jawie opromieniał wszystkie jej słowa i czyny nowym, pociągającym urokiem. Posiadła zdolność stwarzania sobie wielkiej radości z lada drobiazgu. Wreszcie jasno dostrzegła ten stan i możebne jego następstwa. Postanowiła zerwać ze swojem marzeniem. Skłoniła Jana, ażeby wyjechał do Warszawy. Po tym stanowczym kroku nastąpił okres szamotań i burzy wewnętrznej. Szarpana marzeniem o szczęściu i dumą, przybyła do Warszawy i tu postanowiła napisać list do Jana, ofiarując mu swoją rękę i serce. List miała już wrzucić do skrzynki pocztowej, gdy wtem zaskoczyła ją nagła wiadomość o niebezpiecznej chorobie Cesi. Czemprędzej pojechała do domu, wziąwszy ze sobą sławnego lekarza Borowieckiego. Stan Cesi był bardzo groźny. Doktór stracił już nadzieję. Irena rozpaczała. Przysięgła sobie, iż w razie uratowania Cesi zaniecha zamiaru poślubienia Jana i cała się poświęci filantropii. Dziwnym zbiegiem okoliczności stan chorej znacznie się poprawił. Niebezpieczeństwo minęło. Doktór musiał przyznać się, iż postawił mylną dyagnozę. Powieść zamyka następujące wyznanie Ireny: „Niech pełnią szczęścia oddycha ten, przy którym na zawsze zostanie serce moje... Wiem, że zapomni... niech zapomni prędko i niech się nawet nie dowie, że nie przez dumę, lecz przez miłość go się wyrzekam. Niech mną pogardza, jeżeli pogarda zapomnieć mu pomoże. Znajdę odwagę na zniesienie nawet tej myśli... znajdę odwagę żywienia się okruchami szczęścia, będącego udziałem ukochanych.“ Na postanowienie wyrzeczenia się Jana wpłynęło znacznie przekonanie o wielkiej różnicy wieku i o nieuniknionym później rozdźwięku. Irena nie posiadała rozwiniętej samowiedzy, tej prawdziwej wolności woli. Nie miała świadomego, konsekwentnie urobionego ideału etycznego, nie mogła więc kierować życiem swem podług jakichś wyższych reguł. Przeczuwała, iż życie jest budzeniem się i zaspokajaniem pragnień. Do niej stosuje się całkowicie świetne przysłowie niemieckie: „er beugt sich, weil er nicht brechen will.“ Trudno jej było przełamać swoje zwyczaje, upodobania, nałogi.

Autorka dobrze przedstawiła miłość Ireny. Ale ogólna charakterystyka tej postaci, zwłaszcza momentu poprzedzającego zarzewie kochania, jest dosyć banalna. P. Kowerska zapomniała, że charakter każdej jednostki — to ogół czynników duchowych, że jest on sumą cech różnobarwnych, uwarunkowanych całą przyczynowością duszy. Irena przed swym szałem miłosnym była także istotą złożoną, poniekąd egoistką aż do artyzmu, miała stłumione łaknienie wyższego życia, posiadała bezwiedną czystość moralną. Los pokazał jej wszystko, a prawie nic w rzeczywistości nie dał pozytywnego.

Inne figury są nakreślone bardzo miernie. Wielewicz umie tylko pokornie kochać. Jest on z przekonania ludowcem, a w sztuce uznaje jedynie realizm. W bezbarwnej powieści naszej ważny to krok naprzód. Bohaterem nie jest przynajmniej wyznawca teoryi groszoróbstwa lub krótkowzrocznego oportunizmu.

Dodać trzeba, że utwór p. Kowerskiej ucierpiał wiele od nadmiernej rozwlekłości i gadatliwości.

Br. Ch.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Miłosierdzie publiczne. — Muzeum. — Fundusz przemysłowo-rolniczy. — Cukrownia. — Jeszcze kilka słów o fundacyi Hirschowskiej.

Fr. Coppée na tegorocznem posiedzeniu Akademii francuskiej w rzewnych słowach przedstawił konieczność miłosierdzia publicznego, nie wahając się nazwać je obowiązkiem społecznym. „Niechaj niecierpliwi reformatorzy, kuszący się o zniesienie nędzy na świecie, nie czepiają się miłosierdzia, nie wytaczają mu procesu. Bądź co bądź, pozostanie ono jeszcze na długo jedynem przeciwko tej chorobie społecznej lekarstwem. A choćby nawet wszystkie zagadnienia, które dziś tak gwałtownie się narzucają, doczekały szczęśliwego rozwiązania, choćby nowe prawodawstwo rozciągnęło swe skrzydła opiekuńcze nad człowiekiem, od kolebki aż do grobu, jeszczeby się znalazło na świecie pod dostatkiem miejsca na przeróżne niesprawiedliwości i niedole.“ Prawda, nie mając, prócz rodzaju, nic wspólnego z kobietą, na starości nie traci. Chociaż stara, nie zdoła się jednak przyjąć wśród większej części tych jednostek społeczeństwa, które z dumą zagarniają dla siebie pawie piórka cywilizacyi. Uznają one potrzebę uprawiania sportu „miłosiernego“ o tyle, o ile on daje im sposobność do publicznego popisania się barwnością i cennością upierzenia. Z pod bogatych szat, powleczonych błyszczącym pokostem etycznym, wyglądają jednak brudne, brzydkie, niekształtne nogi pawie. A właściciele ich nie czynią niczego, coby widzom galeryjnym na podstawie tych właśnie kończyn uniemożebniło wyciąganie wniosków co do gatunku i moralnej wartości ich osób...

Uwagi te nasuwa nam po części działalność miłosierna, prowadzona we Francyi przez Colombiera, Maryę Danesi i innych, po części zaś — jako silny kontrast — plany naszych miłosiernych pań i panów na sezon, najbardziej sportowi ich przychylny — na zimę. Wieczorek tańcujący „na głodne dzieci,“ żywe obrazy „na głodnych płci męzkiej,“ herbatki siedzące „na odzież dla dziatwy szkolnej,“ festyny lodowe „na biedne wdowy,“ przedstawienie amatorskie „na schronisko nauczycielek“ i moc innych jeszcze wieczorków, obrazów, herbatek, festynów i przedstawień, a koszty ich równają się prawie dochodom i z których tak gorąco umiłowani „maluczcy“ otrzymują w najlepszym razie kilka par zużytych trzewiczków lub ozdoby kotylionowe na „gwiazdkę“ dla swoich dzieci. Rezultat odmienny zdarza się bardzo rzadko, bo co najwyżej trzy razy w ciągu karnawału. Czas byłoby już rzucić tę wielką blagę salonów, czas — uznać, że dla samego bodaj poszanowania praw logiki, łez tańcem ocierać się nie godzi, że wnuki nasze śmiać się będą z niedowierzaniem, gdy przeczytają, że dziadkowie i babki ich tańczyli i przebierali się w przepyszne kostiumy dlatego, ponieważ na poddaszach, w suterenach, w piwnicach i rynsztokach z głodu i chłodu ginęli biedacy. Zasada „do ut des“ nigdzie zawzięciej nie bywa stosowaną. „Daję ci surdut niepotrzebny, a ty daj mi za to sposobność do zabicia nocy.“

Wobec tych jaskrawych przejawów obojętności dla potrzeb ogółu, zdumiewającą jest prawie ofiarność, jaką zamożniejsze jednostki okazują wobec projektu Maryana Sokołowskiego co do zakupna domu, w którym się urodził, żył i zmarł Jan Matejko, na własność miasta i urządzenia w nim Muzeum z pamiątek po mistrzu i reprodukcyj z dzieł jego. Tem dziwniejszą jest ta ofiarność, że nie wiadomo, czy rodzina Matejki wogóle posiadłość sprzedać zechce i że, według zdania kompetentnych artystów dom ten, który tak mało wewnątrz posiada światła, iż Matejko nigdy w nim malować nie mógł, bynajmniej na Muzeum się nie nadaje. Bądź co bądź, jeżeli nawet myśl ta urzeczywistnioną nie zostanie, fundusz zebrany umożliwi uczczenie pamięci Matejki w inny sposób, na co w każdym razie długo nam jeszcze czekać przyjdzie.

Przed kilku miesiącami wspominaliśmy o wniosku Wydziału krajowego w sprawie obrócenia t. zw. funduszu domestykalnego na pożyczkowy, mający służyć ku podniesieniu przemysłu rolniczego w Galicyi. Sejm przychylił się do tego wniosku, powierzając rozdawanie pożyczek Wydziałowi krajowemu, który obowiązany jest zasięgnąć uprzednio opinii komisyi dla spraw rolniczych. Do Wydziału należy też oznaczanie odsetek w każdym specyalnym wypadku i sposób zabezpieczenia pożyczki. Zarząd powierzono Bankowi krajowemu; fundusz ten z końcem roku 1891 wynosił 122 295 złr. Wydział ma także prawo udzielania pożyczek bezprocentowych. Do podniesienia przemysłu przyczyni się też może cukrownia, którą grono rolników tutejszych z uwagi, że grunty okoliczne pod uprawę buraków bardzo byłyby zdatne, pragnęłoby założyć. Wstępne posiedzenie odbyło się przed kilku dniami; na razie nowa myśl wzbudziła dość silne zainteresowanie, życzyćby tylko należało, aby panowie rolnicy nie załatwili się z nią po „galicyjsku.“ Cała Galicya posiada jedną cukrownię (w Sędziszowie), która oczywiście zapotrzebowań nie pokrywa. Korzystają z tego producenci szlązcy, czescy, morawscy, tracą zaś ci, którzy opłacać muszą drożej, aniżeli opłacaliby taki sam produkt krajowy (cetnar metr. kosztuje od 35 do 40 złr.).

Samowola centralnego komitetu fundacyi Hirschowskiej spotkała się nareszcie z jaką taką opozycyą ze strony rządu, który przez komisarza swego dał do zrozumienia, że postępowanie tego komitetu jest nieodpowiednie i że w razie dalszego prowadzenia spraw w duchu, nielicującym z programem fundacyi, rząd założy swoje veto. Fakt ten, który poniekąd zawdzięczamy inicyatywie ministra Madeyskiego, znającego stosunki tutejsze dokładnie, poskromi może wiedeńskich matadorów, których taktykę w ostatnim liście staraliśmy się przedstawić. Wogóle nominacyę p. Madeyskiego bardzo sympatycznie tu przyjęto. Cieszymy się nią tem więcej, że była zarazem porażką Bobrzyńskiego, którego rządy cofnęłyby Galicyę do czasów konkordatu. A jednak biedny p. Bobrzyński, jak serdecznie pragnął już zawołać:

> Poddani, cieszcie się,
> Że królem macie mnie!.. *).

Ferropar.

Z PODRÓŻY.

(Luźne notatki).

XXII.

Ale wracajmy do S. Paula. Kareta za karetą wiezie nasz orszak po mieście. Naprzód byliśmy na jakiemś wzgórzu, gdzie jeszcze przed laty 50 czerwonoskórzy rozpinali swoje namioty. Widok istotnie wspaniały, taki, jaki oglądamy z góry zamkowej w Wilnie. Ale wszystko przybrało rozmiary amerykańskie, tj. olbrzymie. W wiorstowej, a może szerszej dolinie błękitnieje wstęga nurtów Misisipi w pośrodku zielonej oprawy łąk. Z obu stron tego uroczego trawnika ciągną się wzgórza, dźwigające na sobie szatę gajów, z pod której, gdzie tylko zwrócimy oko, sterczą dachy domków — coraz częściej w pewnych kierunkach, aż tu i owdzie widzimy już same gromady mieszkań ludzkich. Z indyjskiego wzgórza S. Paul czynił wrażenie wsi, raczej miasta w półgaju.

Od godziny, a może więcej zwiedzamy dzielnicę, w której ludziska odpoczywają po mozołach *businessu.* S. Paul bowiem nie pzzeniewierzył się ogólno-amerykańskim wzorom, mianowicie zabudowana zwarcie część miasta jest tylko olbrzymim kantorem, który za nadejściem późnej godziny pustoszeje. Właściwe miasto mieszkalne to szereg rozrzuconych domków. Rzecz naturalna, iż komitet recepcyjny pokazuje nam najpiękniejsze strony i chowa gorsze. A zatem wiezie nas przez dzielnice owej klasy, o której się mówi, że jest *well-to-do*, tj. zamożną. Rozsiadły się tu wille, w znacznej od siebie odległości, otoczone trawnikami, wśród wieńca drzew, niby stare, zamożne dworki wiejskie. Mimo że spiek sierpniowy zniszczył zieloność, murawa ma wygląd wiosenny. *Allmighty dollar* zniósł posuchę! Szerokie i ciche ulice asfaltowe, czyściutkie niby salon. Żaden tramwaj nie mąci spokoju, na ulicach ślizga się i łobuzuje bogata dziatwa na kółkowych łyżwach, niekiedy minie nas welocyped. Parkanów pomiędzy willami nie widać — jesteśmy jak gdyby w dobrze utrzymanym parku, w którym nabudowano bez liku pałacyków. Jedziemy już drugą godzinę i wciąż z jednego bulwaru zakręcamy na inny i zawsze ciągnie się przed nami taki sam park mieszkalny. A przecież S. Paul jest względnie małem miastem, bo przed dwoma laty posiadał zaledwie trzynaście dziesiątków tysięcy mieszkańców. Aleje Ujazdowskie zmieściłyby się w jednym takim bulwarze! Świadczy to o zamożności mieszkańców, a przynajmniej o tem, że ludzi, mających się dobrze, jest tam bardzo dużo. Zresztą ulice noszą, na sobie piętno różnej zamożności, jedne swoim wyglądem mówią, że są siedliskiem śmietanki plutokratycznej, inne — mniej bogatych jej warstw. Tamte są zbudowane z granitu, w tych przeważa drzewo, które zresztą nieraz przegląda i w najzamożniejszem towarzystwie. Niekiedy zwykła ulica przecina bulwar, po niej idą szyny tramwajowe, a oko widzi rzędy jeszcze uboższych willi.

Droga nasza wije się po wzgórzach. Cała dolina Misisipi, mury S. Paula i chatki przedmieść leżą przed nami jak na dłoni. Widok czarodziejski. A w dole ściele się przed okiem dzielnica ludności pracującej. W porównaniu z sąsiedztwem, jakie nas otacza, zdaleka czuć tam ubóstwo — względne. Niewielkie chatki, rozproszone wśród zieleni, z mnóstwem wolnego przestworza. Znam je już z bliska, bo zanim znaleźliśmy się pomiędzy pałacami plutokratów, musieliśmy musnąć i tamte ulice. Z powierzchowności warunki hygieniczne przedstawiają się w nader dodatniem świetle, nie tak, jak w Europie, gdzie pięciopiętrowe zbiorowiska klatek tłoczą się do siebie, wyklinają wszelką zieloność nie oficyalnej natury. W S. Paulu, a zdaje się tak samo w całej Ameryce, miasto nie pożarło jeszcze wsi.

26 sierpnia, w drodze do Minneapolisu.

Okolica nie dźwiga na sobie kajdan przeszłości, nie trzeba było rzucać do kąta dawnej formy kapitału, ażeby wprowadzić nowej, ulepszoną. Człowiek osiedlił się w pustce historycznej i korzysta z najlepszych wzorów. To też koleje elektryczne

*) Rzecz dziwna, jak ten uczony szybko przemienił się na karyerowicza. *Red.*

we wszystkich kierunkach biegną od S. Paula. Takim pociągiem, specyalnie dla nas przeznaczonym, jedziemy z tego miasta do Minneapolisu. Doprawdy, widok szczególny, jakiego daremnie poszukiwalibyśmy w Europie. Minęliśmy ostatnie rzędy domków, jedziemy po gościńcu, który swoim piaskiem nieco przypomina leśne drogi na Powiślu mazowieckiem, ale na piasku leżą szyny i po nich idą pociągi drogi elektrycznej!

Podróż, jaką mamy przed sobą, niewielka, bo wynosi wszystkiego kilkanaście wiorst. Na pograniczu gruntów jednego i drugiego miasta jeden z towarzyszących nam członków minneapoliskiego komitetu recepcyjnego podnosi się i przedstawia nas przestrzeni rodzimego swego terytoryum. Jeszcze dziesięć minut a znajdziemy się wśród turkotu i hałasu ulicznego. Przed laty 50 była tam zupełna pustka. A pamięć o pierwszym początku miasta jest jeszcze żywą, nader żywą. I jakże niema być taką, skoro w liczbie obywateli Minneapolisu znajduje się staruszek, który pierwszy osiedlił się w tem miejscu? Portret jego zdobi pamiątkowe album, jakie otrzymaliśmy, a nadto mamy być przedstawieni temu pionierowi „mącznego miasta.“ Dzieje Minneapolisu płyną wartkim strumieniem. „Są one podobnie ciekawe (czytam we wspomnianym albumie) jak romans i równie zasługują na poznanie, jak ważny wypadek historyi!“ Jego rozwój — to rozwój olbrzymiego żołądka, który ramionami — kolejami — niesie ku sobie plony rolne stepów pszenicy, dokąd jedziemy. Jest on dzisiaj największym rynkiem zbożowym na globie! Młyny jego, jak mówią obywatele miejscowi, należą do ósmych cudów świata; jeden z nich, największy, dostarcza tyle mąki, że zaspokoiłby potrzebę sześciu takich miast, jak Warszawa. Rozwój ów zaczyna się zwłaszcza od r. 1870, tj. kiedy konkurencya zbożowa zamorska zaczęła wyrastać. Było ono wtedy 109-tem miastem w Stanach co do ludności. Dzisiaj jest piętnastem. „Mączne miasto“ — *Flour city* — to dziecko owej konkurencyi, wyrosło ono na zbożu i mące, na nich zrobiło swoje miliony.

Ale Minneapolis jest nie tylko ogniskiem handlu zbożowego! W jego murach utkał swoje gniazdo olbrzymi i żarłoczny pająk, ów wielko-giełdowy lichwiarz-pośrednik, i swoją pajęczyną omotał fermerów. Jakie na minneapoliskiej giełdzie dokonywają się spiski, za pomocą jakich środków bywa zwiększany haracz, składany przez rolników, jakie podatki nakłada możnowładca giełdowy na ogół spożywców — trzebaby siedzieć w mącznym grodzie całe lata, ażeby wystudyować te rzeczy. Dostaniemy się do sanktuaryum pająka — w niem za kilka minut będziemy podejmowani! On też będzie przewodnikiem na dalekich polach Dakoty, gdzie pracują wysysane przezeń muchy. Ale wszystko będzie świątecznie wyglądało, nawet muchy będą śpiewały hymny uwielbienia dla pająków. Mam powody podejrzywać, że my sami może służymy za jakąś przynętę...

L. K.

PAMIĘTNIK.

Wystawa przetworów owocowych.

Wystawa ta była niewątpliwie jednym z najszczęśliwszych pomysłów Towarzystwa ogrodniczego, a nie dlatego, że dała szczupłemu gronku ludzi sposobność popisania się z powidłami lub winem porzeczkowem własnego wyrobu, ale głównie dlatego, że unaoczniła, w jakim stanie znajduje się u nas ta gałąź przemysłu. Wyznajemy, że lekcya poglądowa zbudziła w nas dwa odmienne uczucia: małego zadowolenia i wielkiego smutku. Jest to bez zaprzeczenia pocieszającem, że już zaczęliśmy wytwarzać: porzeczniki, agrestniki, susz warzywny i owocowy, powidła itp., że te produkty doprowadzone bywają nieraz do wysokiej wartości, ale czemże to wszystko razem wzięte jest wobec tego, cobyśmy dla siebie i nie dla siebie wyrabiać mogli! Tu dopiero pokozuje się, jak nasze wysiłki, dążenia i cele zagrzęzły w staraniach o rozmaite posady biurowe, o chleb urzędniczy, o zajęcia pokojowe, a jak fatalnie zaniedbaliśmy pracę produkcyjną, która jednostce daje niezależność, a krajowi bogactwo. Marzyciele i amatorowie wysokich cyfr pobłyskują nam często rozmaitymi milionami, które tracimy i którebyśmy zdobyć mogli. Doprawdy w przemyśle owocowym to nie jest fantazyą, bo my w nim rzeczywiście tracimy i moglibyśmy zyskać miliony, gdyby nam tylko przestały pokutować w głowach posadki biurowe i gdyby tłumy próżniaków lub zjadaczów cudzej pracy szczerze i sumiennie wzięły się do pracy. Trudno uwierzyć, że kraj, który mógłby hodować łany porzeczek i agrestu, posiada ich zaledwie tyle, ile potrzebuje na konfitury i soki, a wyborne z nich wina są raczej przedmiotem zabawy, prób lub zabiegliwości gospodarczo-domowej, niż istotnego przemysłu. Trudno uwierzyć, że kraj, który mógłby setki włók obsadzić jabłoniami, a dziś skarży się, że tych jabłek, które posiada, nie ma gdzie sprzedać — nie wyrabia wcale jablecznika, będącego gdzieindziej codziennym napojem najbiedniejszych ludzi. Nawet kwaśno-bezmyślny pesymizm, który po uschnięciu jednego drzewka lub zmarnowaniu się jednego puda gruszek natychmiast wydrwiwa „mrzonkę“ rozwoju sadownictwa u nas, chyba przyzna, że i ziemia i klimat i inne warunki pozwalają nam przynajmniej tyle wyprodukować owoców, ile ich potrzebujemy. A jednakże tyle nie mamy i bawimy się w panów, żyjących pracą cudzoziemców.

P. S. Następne wystawy będzie Towarzystwo ogrodnicze urządzało w siedzibie własnej, gdyż nabyło za 75,000 rs. Bagatelę, gdzie dawniej był ogród Zoologiczny. Ponieważ jest to fakt dokonany, a właściwie był on już dokonanym, kiedy przyszedł pod uchwałę ogólnego zgromadzenia, nie będziemy więc szczegółowo wykazywali bezwartości tego kupna. Odeprzemy tylko krótko argumenty dwu jego obrońców. Na zarzut, że Towarzystwo w małym ogródku swej posesyi nie będzie mogło rozwinąć żadnej hodowli i prowadzić doświadczeń, p. Jankowski odpowiedział, że potężniejsze towarzystwa w Paryżu, Wiedniu i Pradze zadawalają się jednak podobnymi ogródkami. Jeżeli gdzie, to tu *comparaison n'est pas raison.* W tamtejszych towarzystwach nie odbywają się również odczyty „o kuropatwach“ lub „o najnowszych wyprawach francuskich do Afryki,“ tam cyrki nie służą za sale do wykładów publicznych, tam laboratorya fizykochemiczne nie mieszczą się w muzeach itd., a jednakże p. J. chyba nie uzna tego za złe, że u nas tak się dzieje. Społeczeństwo bowiem posiadające niemal zalążkową organizacyę pracy nie może się porównywać z rozwiniętemi i zróżniczkowanemi w swych instytucyach. Ustrój, mający mniej organów, musi każdemu w nich nadawać więcej przeznaczeń. Malarz bez rąk maluje nogami. Towarzystwo ogrodnicze w Paryżu lub Wiedniu może nie utrzymywać pól doświadczalnych, nie prowadzić szkółek rozpłodowych lub aklimatyzacyjnych, bo to zadanie spełniają inne instytucye prywatne i publiczne. Tymczasem u nas ich brak, nikt ściśle, systematycznie i naukowo nie dokonywa prób aklimatyzacyjnych a nawet lista drzew owocowych odpowiednich dla naszego kraju jest dotąd raczej zbiorową improwizacyą, niż wynikiem długoletnich i krytycznych badań. Z tej racyi Towarzystwo ogrodnicze nie powinno wzorować swej działalności według potrzeb francuskich lub czeskich, lecz polskich.

Uwaga p. Rosenbluma, że Towarzystwo nabywając Bagatelę, zrobiło dobry interes, byłaby słuszną, gdyby zadaniem tej instytucyi było robienie dobrych interesów. Ale jeżeli ono nawet po latach 10 sprzeda tę posiadłość z zyskiem, to w każdym razie straci 10 lat, tj. czas niezużytkowany w celach hodowli.

Okólnik.

Kancelarya kredytowa ministeryum skarbu wydała okólnik, zabraniający członkom zarządu instytucyj kredytowych, zarówno akcyjnych, jak na wzajemności opartych, zajmowanie w nich jednocześnie kilku urzędów. Takie siedzenie na kilku stołkach a raczej fotelach było dotąd zwyczajem bardzo powszechnym, który nietylko nie pozwalał na różnych posadach spełniać należycie związanych z niemi czynności, ale monopolizował je wraz z pensyami dla szczupłego grona szczęśliwców. P. minister tedy wezwał zarządy instytucyj kredytowych do złożenia piśmiennych zobowiązań, że nadal nie będą dopuszczały takich nadużyć. Skutkiem tego okólnika— jak donosi *Rusk. żizń* — wiele osób już zrzekło się swoich ubocznych posad, zatrzymując tylko jedną, rozumie się, najgłówniejszą. Pisma podają przytem pogłoskę, że wkrótce ma być wydane podobne rozporządzenie, dotyczące prywatnych właścicieli i kantorów bankierskich, oraz inne wyłączające cudzoziemców od zajmowania pierwszorzędnych stanowisk w instytucyach akcyjnych. Wątpimy jednak, czy zakaz „skupiania posad“ może być zastosowany w domach bankowych prywatnych.

Sprawa Kuszlów.

Zatarg pp. Kuszlów z Towarzystwem kredytowem ziemskiem, które ich wydziedziczyło z dóbr Nowosiołki, był tylokrotnie przedstawiany w prasie i zaznaczony w naszem piśmie, że powtarzać go tu nie będziemy, powracamy zaś do niego tylko ze względu na ważną zasadę prawną, którą świeżo wywołał. Mianowicie pp. K. zostali oddaleni ze swemi pretensyami przez dwie instancye sądowe na tej podstawie, że one nie uznały się kompletnemi do wyrokowania o słuszności skargi, uważając władze Towarzystwa za jedynie uprawnione do rozstrzygania sporów między niem a jego dłużnikami (stowarzyszonymi). Otóż senat nie podzielił tego poglądu i nakazał sądowi rozpoznanie samej sprawy. Orzeczenie to poniekąd otwiera zupełnie nową epokę dla tego rodzaju zatargów. Dotychczas stowarzyszony musiał poddać się kornie wszelkiemu postanowieniu Dyrekcyi szczegółowej, głównej lub komitetu, obecnie może ich decyzye zaskarżyć do sądu. Jakikolwiek będzie rezultat procesu, wytoczonego przez pp. Kuszlów, ta zasada prawna posiada bardzo doniosłe znaczenie.

Eusapia.

Słynna Eusapia, która zburzyła zasadnicze prawa fizykalne, rozszerzyła granice naszej wiedzy i wprowadziła nas w nową, zupełnie nieznaną dotąd dziedzinę zjawisk, przyjechała do Warszawy, ażeby tu poddać się doświadczeniom i przekonać niedowiarków, że jej myśl materyalizuje się w przestrzeni jako postać podnosząca stoły, przesuwająca meble, głaszcząca obecnych po twarzy, dająca im szczutki, odbijająca się na płytach fotograficznych itd. Impresaryo tego naukowego przedstawienia, p. Ochorowicz, pokaże ją i jej cuda w szczupłem gronie osób, które zapewne poświęcają się specyalnie badaniom psychofizycznym. Mówimy: zapewne, gdyż nie wiemy, jacy wybrańcy dopuszczeni zostali

do oglądania tajemniczego obrządku prób mediumicznych. Słyszeliśmy tylko, że są to mężowie budzący zaufanie i zdolni zapłacić 50 rs. na koszty podróży Eusapii. Jakkolwiek ten moralny i materyalny census jest dość dziwny, przypuszczamy, że w owem gronie znajdą się ludzie, którzy: 1) nie zechcą za wszelką cenę i w zamiarach nic wspólnego z nauką niemających podtrzymywać wiary w nową magię; 2) którzy będą umieli kontrolować widziane objawy ściśle i rzetelnie, 3) nie sypną nam potem w oczy frazeologiczno-filozoficznym piaskiem. Z tą nadzieją czekajmy.

Ze sceny.

Dwa tygodnie temu *Prawda* przesłała uroczyste zaklęcie do gwiazd teatralnych, by wstrzymały się choć przez chwilę w pochodzie swym ku nam i pozwoliły wypocząć zmęczonym ustawicznymi okrzykami zachwytów sprawozdawcom. Jeszcze zaklęcie to nie przebrzmiało, gdy czerwone afisze zwiastowały już nie gwiazdę, lecz słońce słońc, *wielkiego Maurela*, dla którego jakoby wyłącznie Verdi stworzył partyę Jagona w *Otellu*, którego przybycie miało stanowić erę w muzykalnem życiu naszego miasta.

I przybył „on,“ „apostoł nowych prawd muzycznych“, „genialny realista“, “najznakomitszy ze znakomitych barytonów.“ Reklamowany od roku, jakżeż nie miał oczarować reporterów i sprawozdawców!

Po pierwszym występie jego w *Otellu*, pisano: „Aksamitny dźwięk prześlicznego jego głosu przypomina kolorytem najsłodsze dźwięki wiolonczeli Stradivariusa, każdy giest—znakomitego aktora. Przepyszny materyał jego wokalny posiada to wszystko, co tylko najpiękniejsze studya, wsparte talentem wrodzonym, głosowi ludzkiemu dać mogą. Więc: fizyczną równość rejestrów skali obszernej, przedziwną emisyę,. dykcyę wprost idealną, czarowne mezza-voce, lekkie tryle, powiewne pasaże, gamy itp., najdokładniej opracowane i wyrobione.“

Kiedy, w jakich chwilach dopatrzono się owych aksamitów w głosie, owych lekkich trylów, powiewnych pasaży itd., trudno pojąć zaiste. Przypuszczam, iż Maurel sam, jako artysta wysoce inteligentny i znający, prawdopodobnie, zasoby swoje wokalne, zdziwiłyby się niepomiernie przyznawanemi mu w tak nieskończonych superlatywach własnościami.

Głos jego brzmi bardzo zwyczajnie, robiąc chwilami wrażenie prześpiewanego; w pierwszem recitativie Jagona razi szeroka emisya, brak zaokrąglenia tonów, do którego przywykło ucho, śledzące sposób śpiewania wytworniejszych artystów, uderza też bardzo często, budząc podziw dla stugębnej reklamy, która każe nam zachwycać się cudowną szkołą barytona.

W partyi Jagona jedno tylko opowiadanie o śnie Cassia odśpiewane zostało z nieporównanem mistrzostwem prześlicznego mezza-voce, które nie wiadomo skąd wzięło się naraz u artysty, dalekiego od wywoływania silnych efektów samym głosem jedynie.

Tym razem—o dziwo!—publiczność nasza nadspodziewanie opornie przyjęła narzuconą sobie z góry suggestyę. Na drugiem przedstawieniu Otella, pomimo podwyższonych o połowę cen miejsc, co, jak wiadomo, działa zawsze korzystnie na opinię naszych melomanów, teatr świecił pustkami.

Maurel, wysoce inteligentny, drobiazgowo sumienny artysta, jest przedewszystkiem aktorem, dla sztuki aktorskiej poświęcił głos. Efekty, jakie wydobywa, łkając np., jęcząc lub wydając okrzyki szalonej rozpaczy i przerażenia w aryach Rigoletta, nie wpływają dodatnio na materyał wokalny. Każdy tenor, bas i baryton, którym chodzi o jak najdłuższe utrzymanie barwy głosu, unika sztuk i sztuczek, ścierających ją stopniowo. Dla Maurela śpiew jest raczej środkiem uwydatnienia akcyi, uzupełnieniem jej, aniżeli celem samym w sobie. Dla tego mało efektowna, na subtelnościach i potędze wokalnej, jak w słynnem Credo, polegająca rola Jagona przeszła bez wrażenia, partya zaś Rigoletta ściągnęła artyście hołd zasłużony, jakkolwiek obie w jednakim stopniu stanowią wytwór studyów głębokich.

Maurel, jak i w Jagonie, był tu chwilami zbyt afektowany. Gra jego wogóle nie wypływa ze szczerego natchnienia, z ognistych porywów scenicznego temperamentu: każdy giest, każde spojrzenie, każdy dźwięk głosu jest tu z góry obmyślony, artysta odtwarza role swe, prawdopodobnie, zawsze jednakowo, refleksya jego bowiem nie już ani dodać, ani ująć od raz wykombinowanej akcyi nie zdoła; w każdym razie jest to gra na szeroką skalę. Postaci, tak misternie oddanej, tak realistycznie wycieniowanej, jaką Maurel stworzył w Rigolecie, nie spotka się drugiej zapewne; nawet głos artysty nadawał się do ogólnego tła jej charakteru. Gdyby miał w rzeczywistości aksamitne dźwięki skrzypiec, czy też wiolonczelli Stradivariusa, lekkość, smętną barwę i powiewność arfy Eola, wzruszałby i czarował niewątpliwie, lecz nie wywołałby wrażenia tej grozy, o jaką chodzi Maurelowi zapewne głównie.

Kaleka (nie schodząc prawie ze sceny, Maurel ukazuje się widzom ciągle z powykręcanemi rachitycznie, rozbiegającemi się nogami, w czem podziwiać należy wytrwałość jego) szpetny, kulawy garbus, pełen sarkazmu, pół dziki chwilami, nawet wtedy, kiedy pobudza do łez rozpaczą ojca, któremu wydarto i shańbiono córkę, nie przestaje budzić wrażenia ohydy wstrętną swą postacią.

Takim, jakim go Maurel odtworzył był bez wątpienia, ścigany przekleństwem Monterona, błazen w pojęciu Verdiego; takim nakreślił go Wiktor Hugo w swoim *Le roi s'amuse*, służącem, jak wiadomo, za treść libretta do pięknej romantycznej opery włoskiego mistrza.

Jeden z poważnych naszych sprawozdawców słusznie powiedział, że Maurel nie śpiewał całej partyi Rigoletta, ale za to stworzył typ tak skończony, że ten na wieczne czasy pozostanie w pamięci tych, co go widzieli i słyszeli. *Selika.*

Wystawa Andriollego.

Na owych tysiąc rysunków i kartonów patrzyliśmy nie ze stanowiska oceny artystycznej. Przedewszystkiem przedstawił się nam w nich człowiek, którego postać energiczną, ruchliwą i, zdawało się, niespożytą mamy jeszcze świeżo w pamięci. Technice Andriollego zarzucano bardzo dużo, a szczególnie w ostatnich czasach; wytykano tę jego słabą stronę: konwulsyjne wygięcia ludzi i drzew, włosy bohaterek obfite i rozwiane; dodałbym jeszcze — często powtarzane ulubione przez artystę typy zarówno męzkie, jak i kobiece. Ale pominmy stronę wykonania a przyjrzyjmy się pomysłom, w których częstokroć tkwi myśl głęboka, satyra i sarkazm społeczny. Przed laty dziesięciu w owym okresie rozkwitu ilustracyi naszych, talent Andriollego jaśniał jeszcze świeżością tryskał życiem i ogniem. Prawie każdy numer *Kłosów*, *Tygodnika powszechnego*, *Ilustrowanego* przynosił nową kompozycyę zmarłego artysty. Zaglądał on do wnętrza suteren, do nor, tak zwanych mieszkań stróżów i odtwarzał z całą prawdą realną to życie mizerne, przytłoczone nędzą i mozołem. „Tatulu, otwórzta bramę; dzwonią!“— woła dziewczynka do ojca, leżącego gdzieś w kącie. Na tej twarzyczce drobnej maluje się cała jeszcze nieświadomość doli rodziny i jej opiekuna, odrętwiałego ze znużenia. „Nie ma, Jaśku, mamy!“ mówi owdowiały rzemieślnik, trzymający synka na ręku obok skromnego warsztatu pracy; a twarz jego nie jest ani wykrzywiona bólem, ani zwilżona łzami; maluje się tylko na niej niezmierne znękanie, połączone z pewnem odrętwieniem ducha, boleść spokojna, świdrująca, którą przeciętny filister, nawykły do widoku spazmów i aktorskich ruchów rozpaczy, nazwałby „bydlęcem znieczuleniem prostaka.“ Otóż w takich tematach Andriolli niegdyś się lubował i ujawniał przez nie swoje głębokie porywy społeczne. Z tych właśnie rysunków patrzy na życie człowiek myślący, obdarzony zdolnością odczuwania drgnień subtelnych w duszach i sercach rzesz, skazanych na gonitwę za okruchami dóbr ziemskich; takie kompozycye nacechowane są także większą wartością artystyczną. Ale po za dziedziną pomysłów sympatycznych dla rysownika, są okolicznościowe, narzucone. To też Andriolli, rysując niezliczone razy sceny „zaduszek“, wigilii Bożego Narodzenia, Nowego roku lub Wielkiejnocy, sam czuł niesmak do tych figur i grup banalnych, najsłabszych z jego tworów. Trzeba także wiedzieć, jak szybko one wyrastały; byłem kilkakrotnie świadkiem zrodzenia się kompozycyi i jej zupełnego wykończenia na kliszy w ciągu pięciu, sześciu godzin. Z ostatnich lat twórczości najcenniejszą spuściznę Andriolli zostawił w paru dużych kartonach, na których uplastycznił sceny z Konrada Walenroda. „Skąd litwini wracają? Z nocnej wracają wycieczki.“ Artysta był nawpół litwinem. W jego wrażliwym umyśle utkwiły od dzieciństwa owe postacie przysadziste, krępe, a wyobraźnia nadała im wyraz półdziki z zamierzchłej przeszłości, na tle natury, puszcz przepaścistych, u których z wysiłkiem trzeba było wywalczać najdrobniejszą piędź ziemi dla uprawy. Podobno istnieje zamiar wydania albumu prac Andriollego. Wybór najcelniejszych z tego ogromu byłby łatwy, a w ten sposób ześrodkowane owoce twórczości przedstawiłyby całokształt talentu, bez domieszki roboty obstalunkowej. *Zn.*

Zyskowny proceder.

Dotychczas wiedzieliśmy, że reporterzy, ci najszczęśliwsi ludzie, przy pewnej wprawie, stosunkach i — hektografie mogą pracować dwie, trzy godziny dziennie, zarabiać tyle, co zdolny profesor uniwersytetu, trawiący dnie i noce na studyach i wykładach. Obecnie, gdy w tej zyskownej dziedzinie namnożyło się zbyt wielu działaczy, obrotniejsi zaczęli szukać innych źródeł dochodu i wykazali swą rzutkość i obrotność po za granicami wiadomości codziennych. Jeden z takich ruchliwych przedsiębiorców od lat paru uprawia z powodzeniem niewyzyskane dotąd u nas pole „impresaryzmu.“ Obwozi on po miastach artystów wybitnych, urządza koncerty i po zapłaceniu swym protegowanym umówionej sumy, zgarnia znaczne zyski. Jako reporter, ma on wprawę i możność reklamowania, co mu niezmiernie pomaga w interesach. Niedawno zawiózł Barcewicza do Lublina i doznał tam większego powodzenia niż artysta, cieszący się sławą europejską. Oto, co w tej sprawie pisze *Gazeta lubelska*: „Pomysłowy „impresario“ umieścił na afiszu podobiznę znakomitego skrzypka, z całem przeświadczeniem o potędze takiej reklamy, jaka towarzyszyć zwykła profesorom czarnej magii lub cyrkowym artystom. Nawiasem jednak mówiąc, Barcewicz nie potrzebował ani tej reklamy, ani gwarancyi ze strony takiego pana, co się nazywa „impresario.“ Pan ten zagwarantowawszy Barcewiczowi 150 rs. za wieczór, uważał za stosowne podwoić cenę biletów. Ile tym sposobem osiągnął dochodu, to tylko dokładnie jemu wiadomo; według naszej rachuby, cyfra wpływu wynosiła około 500 rubli, jeżeli nie więcej...“ *Gazeta* utrzymuje, że „gdyby obowiązków impresarya podjął się którykolwiek z muzyków

miejscowych, zadowoliłby się przedewszystkiem znacznie mniejszym zyskiem, przy tej samej „gwarancyi“, nie uważałby za stosowne podwyższać cen wejścia i postarałby się nie o stare klepadło z zepsutym pedałem, lecz o fortepian prawdziwy do akompaniamentu.“ Istotnie, każde z miast naszych posiada muzyków, ludzi popularnych i cieszących się sympatyą ogólną. Gdyby się mogli zająć urządzaniem koncertów dla odwiedzających partykularz znakomitości, zdobyliby trochę grosza na poprawienie swych zwykle kłopotliwych interesów, a publiczność miałaby sposobność o wiele taniej korzystać z rozkoszy koncertowych. Tylko cały szkopuł leży w tem, iż żaden z tych muzyków nie odważyłby się na takie przedsiębiorstwo, a artysta na szukanie u nich pośrednictwa. Rola impresarya wymaga swego rodzaju zdolności i to niepośledniej; odwagi, graniczącej z zuchwalstwem i—przechodzącej wszelkie skrupuły natarczywości, która takim ludziom pozwala wtargnąć do mieszkania artysty lub artystki i porwać ich z sobą na wędrówkę. Nowa postać procederzysty wyrosła u nas na gruncie ambicyi i niezaradności, towarzyszącej zwykle wirtuozom lub aktorom. *ir.*

SPRAWY EKONOMICZNE

ZE ŚWIATA RZEMIEŚLNICZEGO.

Przebudzenie się sekcyi. — Sześć zapytań. — Czy odpowiedź będzie rzetelna i bezstronna? — Muzeum rzemiosł. — Kto się najwięcej przyczynił do jego istnienia. — „Dział pożytkowy“ i jego znaczenie. — Słówko o Bazarze rzemieślniczym.

Po burzliwem posiedzeniu (zdaje mi się, w marcu r. b.) i po rozterkach, sekcya rzemiosł warsz. oddz. Tow. pop. rusk. przem. i hand., wyczerpana wzruszeniem i gniewem, zapadła w sen głęboki, kilkomiesięczny. Swary wynikły z pobudek osobistych, z drobnych ambicyjek i niechęci względem jednostek. Dla prywaty poświęcono sprawy publiczne, pomimo że na porządku dziennym było kilka bardzo ważnych do załatwienia. Nie wiem, w jakim stopniu na przebudzenie się śpiących podziałało ciągłe wołanie *Gazety rzemieślniczej*; to tylko pewna, że gdy się komuś nad uchem bezustannie krzyczy: „a nuże! wstawajcie“ — cierpliwość apatyi musi się wyczerpać. Zresztą mniejsza o to, z kąd bodźce płynęły; dość że ożywiona i pełna sala obrad, po długotrwałej pustce i ciszy, przyjemne robi wrażenie. Na początek zebrani nie błahe pytania dostali od centralnego komitetu statystycznego z Petersburga (za pośrednictwem p. prezydenta miasta): Czy się należy starać o pewne zmiany w regulowaniu stosunków pomiędzy majstrami, czeladnikami i uczniami? Czy wydawanie świadectw czeladnikom jest pożądane i czy są one zawsze dowodem uzdolnienia czeladnika? Czy pożądany jest egzamin publiczny dla otrzymania stopnia czeladnika? Czy istnieją jakie braki w przepisach o nauczaniu rzemieślników i — w jaki sposób wyrównać je można? Czy dozór nad zakładami rzemieślniczymi, a szczególnie nad uczniami uważać można za dostateczny? Czy nie byłoby pożytecznem zastosowanie prawa przemysłowego o najmie małoletnich — do rzemiosł i czy wogóle jakiekolwiek zmiany w tym zakresie są pożądane?

Na pytania te, rzecz prosta, nie można było odpowiedzieć bez stosownego przygotowania się, więc całkiem słusznie po doryweczych i chaotycznych rozprawach, pozostawiono je namysłowi i systematycznemu opracowaniu. Zachodzi atoli jedna wątpliwość: czy odpowiedzi, najgruntowniej nawet i najszerzej opracowane, będą wolne od stronności? Szczególnie mamy tu na myśli pytanie ostatnie o przepisach najmu małoletnich. Ponieważ mają orzekać, ci właśnie, którzy się posługują małoletniemi, trudno więc przypuścić, ażeby oni sami zechcieli za pomocą rzetelnego wyjaśnienia sprawy nałożyć hamulec na siebie. A jednak szczegół ten należy do najważniejszych. Trudno również się spodziewać zadawalających i prawdziwych odpowiedzi na temat uregulowania stosunków pomiędzy majstrami, czeladnikami i uczniami. Dane będą pochodzić tylko od majstrów, podczas gdy ci, którzy najwięcej ciekawych rzeczy mogliby powiedzieć (czeladnicy i uczniowie) będą milczeli i w rezultacie zgodzą się w przyszłości na środki prawodawcze, oparte na wyjaśnieniach ich pracodawców - kierowników. Majstrowie narzekają na krzywdę, wyrządzaną im przez uczniów, którzy w chwili, gdy mogą widoczną korzyść przynosić (po roku), nagle opuszczają warsztat. Jeżeli takie utyskiwania posłużą za motyw w pracy osobnej delegacyi, to warto byłoby jednocześnie wysłuchać bardzo licznych i częstych skarg rodziców tudzież opiekunów, że nieraz zdolny chłopiec traci w warsztatach lata całe bezpłodnie, musi bowiem pod pozorem „wdrażania do fachu“ zajmować się wszystkiem (zamiataniem izby, roznoszeniem towaru), tylko nie tem, co ma go istotnie wykształcić na rzemieślnika.

Jeżeli zważymy, w jak ciężkich warunkach powstało Muzeum rzemieślnicze, ile użyto zabiegów i starań na jego stworzenie i pierwsze potrzeby, należy dziwić się, że ono nie tylko nie upadło, ale nawet rozwija się powoli. Najwięcej obojętności pono okazali ci, dla których ma ono być w znacznej mierze dźwignią. Owo zjawisko wielce znamienne, zaznaczyła *Gazeta rzemieślnicza*. Na Muzeum jedna osoba ofiarowała dwadzieścia kilka tysięcy, rubli, za nią złożono jeszcze parę tysięcy; ale z tych ostatnich możliwie najmniej przypada na rzemieślników. Dawali finansiści, inżenierowie, doktorzy, ale nie oni. „Ha! myślano, rzemieślnik nasz nie opływa w gotówkę, jest w interesach, trudno coś dać odrazu — choć to nie przeszkadzało, że w ciągu tego czasu niektórzy rzemieślnicy pokupowali domy, inni powystawiali fronty i oficyny, a wielu z nich wcale przyzwoitymi ekwipażami jeździ po mieście.“ Ale gdy tak trudno o wydostanie grosza gotowego, możeby się dało coś wytargować w postaci ofiarowanej pracy i wyrobów. Za granicą na stworzenie takich instytucyi składały się, obok wpływów pieniężnych: cegły od właścicieli cegielni, krokwie, belki — od składników drzewa; stolarze układali darmo podłogi, każdy ze sklarzów oszklił jedno okno, malarz wymalował pokój, ślusarz dał okucie itd. U nas — pomieszczenie znalazło się gotowe. „Ale — powiada *Gazeta* — trzeba było umeblować kilka pokojów i to sprzętami bardzo prostymi, jak szafy, stoły i gablotki, sosnowe, na czarno polakierowane. Jakby to zrobiono za granicą? Zgromadzenie stolarskie wzięłoby na siebie wykonanie owych szaf, stołów i gablotek i przy takiej masie stolarzy jak w Warszawie, wypadłoby po jakie dwa ruble na majstra, ślusarze daliby okucie do szaf i gablotek, oraz zameczki, i wypadłoby po 30 kop. na majstra; lakiernicy pomalowaliby wewnątrz i zewnątrz sprzęty i kosztowałoby to po pół rubla na jednego; szklarze oszkliliby szafy i gablotki co także nie wyniosłoby więcej niż kilka złotych od osoby.“ Muzeum, nie licząc na taką solidarność i usługi zbiorowe, (pomimo że Warszawa posiada kilkadziesiąt tysięcy rzemieślników), musiało na umieszczenie swych zbiorów szafy ...pożyczyć.

Niezrażone atoli obojętnością i taką łataniną, Muzeum stara się ciągle wprowadzać udoskonalenia, zgodne z potrzebami i postępem techniki w tej dziedzinie. Dzięki zabiegom kierowników, zbiory w dziale sztuki stosowanej znacznie się wzbogaciły (rysunki albumy, modele, wyroby) biblioteka również urosła. Nadto na pierwszem posiedzeniu powakacyjnem postanowiono urządzić niezmiernie ważny t. zw. dział pożytkowy, którego zadaniem będzie gromadzenie materyału, mającego łączność z techniką rzemiosł. Skupienie okazów i wzorów miejscowych i zagranicznych, nacechowanych nowością pomysłów i zaletami estetycznemi, nieoceniony pożytek może przynieść rzemieślnikom. Nie jeden z nich próżno sobie łamie głowę nad podniesieniem wartości wyrobu, a gdy zobaczy piękny i tani przedmiot, ze smutkiem opuszcza ręce, bo wie, że gdyby go zechciał sam wykonać, byłby i brzydszy i dwa razy droższy. Otóż ów dział pożytkowy będzie mógł takim zniechęconym i zrozpaczonym dolewać otuchy i siły. Da bowiem możność przekonania się, że tajemnicą zalet i taniości przedmiotu nawet niefabrycznego, częstokroć bywa jakaś maszynka, znacznie ułatwiająca robotę i zmniejszająca jej koszt.

Muzeum (w swym dziale pożytkowym) będzie gromadziło wszelkie nieznane u nas tego rodzaju modele i maszyny. Oglądanie atoli takich rzeczy nie przyniesie korzyści rzemieślnikom; zarząd Muzeum, rozumiejąc to dobrze, ma podobno się zaopatrzyć w zbiory surowych materyałów, które umożliwiłyby wypróbowanie na miejscu zalet przyrządów sprowadzonych. Próby takie wraz z szeregiem stosownych wyjaśnień, odbywać się mają co pewien czas w salach Muzeum. W ten sposób rzemieślnik, nabywając potrzebny motor lub przyrząd, nie narazi się na zawód, gdyż wprzódy o jego wartości namacalnie się przekona, a co najważniejsza — będzie mógł iść za postępem techniki i, jeżeli tylko nie zaniedba odwiedzania swej instytucyi pomocniczej—nie zaśniedzieje w rutynie. W taki tylko sposób rękodzielnicy i posiadacze małych motorów zdołają przez czas dłuższy oprzeć się potędze wielkofabrycznej (o ile naturalnie przemysł wielki pomija całkowicie lub częściowo dziedziny przez rzemieślników uprawiane). Drobni wytwórcy, otrząsnąwszy się z rutyny i tandety, zjednają spożywców i tem utrwalą sobie grunt pod nogami. Przypuszczać należy, iż z czasem Muzeum, gdy się rozwinie i wzmoże w środki, rozgałęzi swą działalność także na prowincyi w postaci filii. Wtedy wszechwładna tandeta na partykularzu spokorniejе, a ulegający tej kusicielce rzemieślnicy przestaną narzekać na brak pola do pracy w szczuplejszych ogniskach życia. Potrzeba atoli, ażeby ta akademia rzemiosł wydała wprzódy obfite owoce w Warszawie, aby wyrobiła smak i zamiłowanie do kształcenia się śród swych uczniów.

Słówko o bazarze rzemieślniczym. Istnieje on gdzieś na rogu placu Bankowego i Żabiej, ale... nie udało mi się go znaleźć. To samo słyszałem od innych. Tak się skromnie ukrył! Podobno celem jego jest ułatwienie zbytu wyrobów rzemieślniczych. Szkoda tylko, że we własnym interesie nie pomyślano wprzódy o ułatwieniu drogi spożywcom do tego sklepu.

Zen. Piet.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Skargi rolników. Utyskiwania naszych rolników na nizkie ceny zboża słychać w tym roku częściej, niż kiedykolwiek. Wywóz do Niemiec został zatamowany. Ale nie łudźmy się płonną nadzieją, że interesy ziemian naszych poprawiłyby się, gdyby zniesiono wszystkie przeszkody, z jakiemi zbo-

że tutejsze musi walczyć. Rynki europejskie zostały w tym roku zalane przez zboże amerykańskie—nie rogatki celne więc, ale ten zamorski spółzawodnik jest dzisiaj najgłówniejszym sprawcą zastoju w swojskim handlu zbożowym oraz niskich cen produktu rolnego. Dowóz zaś jest tak wielkim, że nawet do Finlandyi dotarły transporty mąki amerykańskiej. Prócz innych przyczyn działa tu jedna, która przed kilku laty podniosła ceny naszego zboża. Kiedy kurs rubla stał nizko, zboże nasze masami przepływało za granicę. Pośrednik zagraniczny nabywał je taniej, niż przedtem, a nasz rolnik mimo to otrzymywał ceny wyższe. Dzisiaj właśnie w takiem położeniu znajduje się północny związek amerykański. Z powodu szalonej zniżki srebra rolnik amerykański może otrzymywać ceny wyższe, niż dawniej, chociaż cena pszenicy na rynkach niemieckich, wyrażona w złocie, wypada niżej. Że otrzymana za pewną ilość zboża kwota srebrna, lubo wyższa niż dawniej, posiada faktycznie niższą wartość, niewiele to obchodzi fermera. Długi i podatki płaci on w srebrze, a zatem na spadku tego kruszcu nie traci. Co najwyżej musi zapłacić więcej za maszyny rolne, ubranie, lecz to obecnie, kiedy zastój panuje w handlu amerykańskim, a ceny przedmiotów spadły, nie bardzo daje mu się odczuwać. *L.*

Bawełna. Z Buchary nadchodzą nieobojętne dla fabrykantów wieści, iż tegoroczny zbiór bawełny jest bardzo obfity. Pod względem jakości najlepiej się przedstawia produkt z nasion amerykańskich. Pomimo takiego stanu rzeczy, ceny są jeszcze dość wysokie: za pud nieoczyszczonej plantatorowie żądają rs. 2 k. 35. Skutkiem tego komisyonerowie przemysłowców łódzkich i moskiewskich otrzymali polecenie wstrzymania się z zakupami, aby tym sposobem wywołać zniżkę.

— Departament celny przystąpił do opracowania przepisów dla uproszczenia formalności przy pobieraniu opłat. Jednocześnie zwrócono uwagę na działalność kantorów ekspedycyjnych, których pośrednictwo kosztuje nieraz drożej niż samo cło od towarów.

— Utworzona przez ministeryum spraw wewnętrznych komisya dla ustanowienia normalnych cen mięsa, uznała za niezbędne wydawać zaliczenia na żywy towar, wysyłany do miast większych przez handlarzy i właścicieli ziemskich, zajmujących się hodowlą bydła na wypas.

O PRAWDĘ.

KILKA SŁÓW WYJAŚNIENIA
z powodu artykułów o „Djable w poezyi.“

Prosząc o gościnność dla poniższej repliki, czynię to nie ze względów osobistych, broń Boże, gdyż barwna krytyka sz. kolegi, Cezarego Jellenty, była dla mnie niezwykle życzliwą i pochlebną, lecz jedynie w celu wyświetlenia samej kwestyi. Szan. krytyk bowiem, akceptując w całości rzeczową, tj. historyczno-literacką i estetyczną zawartość mojej rozprawy, nie godzi się do pewnego stopnia na wnioski, wyciągnięte z zebranego i zestawionego przeze mnie materyału. Otóż ponieważ argumenty sz. krytyka nie zmieniły mojego dotychczasowego poglądu na przedmiot, pragnąłbym kilkoma słowami umotywować mój „upór.“

Kol. Jellenta wyraża żal, że, ograniczywszy dobrowolnie omawianą kwestyę do strony estetycznej wyłącznie, skrępowałem sobie niejako skrzydła. Zapewne, ale przecież sam powiedziałem we wstępie (str. 1), że zamierzam zająć się „tylko historyą *dyabła w poezyi*, a innych dziedzin dotykać o tyle tylko, o ile to będzie *niezbędnem*.“ Sądzę, że krytyk za mało się liczył z tem otwartem i wyraźnem oświadczeniem mojem, inaczej bowiem nie pociągałby mnie do sprawy za rzeczy, których w książce nie było, bo—być nie miało, a po części i być—nie mogło. Jeżeli malarz odtworzy wybrany kawałek brzegu morskiego, któż się poważy mieć do niego pretensyę o to, że nie odmalował wszystkich lądów, stykających się z morzem? Kolega Jellenta nie widzi racyi „równouprawnienia dyabła złośliwego z dyabłem bohaterskim.“ Dlaczego? Bo mierzy ich miarą *etyczną*, kiedy ja, *zgodnie z założeniem mojem*, przykładałem do nich miarę czysto *estetyczną*. A czyż wobec kryteryum piękna artystycznego nikczemny Mefistofeles Goethego ustępuje w czemkolwiek heroicznemu Lucyferowi Byrona? Bynajmniej. Ten sam wzgląd kazał mi potępić patetyczną, nadętą frazeologię Carducciego, oraz nieszczere „robione“ litanie Baudelaire'a. W wiekach średnich, tj. w epoce prześladowania czcicieli dyabła, hymny na jego cześć imponowałyby przynajmniej, jako wyraz odwagi ich autorów, ale dziś, kiedy o dyabła i jego wyznawców nikt się nie troszczy, podobne „tanie“ efekty nie budzą grozy, lecz niesmak. Kolega Jellenta sam to do pewnego stopnia przyznaje, twierdzi jednak znowu, że idzie mu nie tyle o stronę estetyczną, co *idejową* i że ta nowa, samoistna (?) faza idei demonicznej, stwierdza jakoby postawione przez recenzenta prawo, brzmiące tak: „raz na zawsze każdy historyczny moment analizy wytwarza demonów dodatnich na złość i dla przeciwstawienia Bogu, którego, niby drugiego Jowisza, strąca się z wyżyn wszechwładzy i doskonałości.“ Kolega Jellenta widzi w tem „rozwiązanie zagadki dyabła w poezyi.“ Przyznaję, że podczas pisania pomysł ten nasuwał mi się kilkakrotnie, pomimo jednak, że wyglądał ponętnie, musiałem go porzucić i to *na zawsze*, bo mu przeczyły owe złośliwe, brutalne chochliki, będące wrogami wszelkich efektownych, ale efemerycznych syntez, a zwane — *faktami!* Wprawdzie kolega Jellenta twierdzi na początku drugiego swego artykułu, „że przedmiot nie ucierpiałby na tem, gdyby niektóre podgatunki (dyabła), mieszańce, formy niewyraziste zostały pominięte,“ czyli, że gdybym się nie tak *ściśle rachował z faktami* zyskałaby na tem całość, której „przybyłoby spoistości.“ Bez kwestyi! Ale ja *chciałem* się liczyć ze wszystkimi dostępnymi faktami; mnie *szło o dokładność*, o *prawdę*, nie zaś o quasi-filozoficzne fajerwerki. Cóżbyśmy powiedzieli o botaniku, który pomieścił w swojej klasyfikacyi tylko dęby i sosny, a pominął mchy dlatego, że są drobne, lub grzyby dlatego, że krótko żyją?!

Wolałem syntezę mniej „frapującą,“ ale stojącą za to w zgodzie z większą ilością istniejących typów dyabła w poezyi. Pod „prawo“ zaś związku pesymizmu z „dodatniemi“ figurami szatana da się, prócz kilku lichych figur najnowszych, podciągnąć z dawniejszych jeden *jedyny* Lucyfer Byrona. I co do niego jednak należy uwzględnić pewne zastrzeżenia, poczynione przez poetę w przedmowie do „Kaina,“ a osłabiające bardzo „prometeiczny“ charakter tego demona. Przypuszczać atoli, że pełen głębokiej wiary purytanin, Milton, pobożny Vondel, lub naiwny przerabiacz Biblii i Awitusa, mnich Caedmon, „wynosił pod niebiosa humanitarność dyabła,“ lub śmiał „strącać Jehowę z wyżyn doskonałości“—byłaby to hypoteza co najmniej zbyt ryzykowna. A jeżeli te *najgłówniejsze* z dodatnich typów, nie podchodzą pod cytowane wyżej „prawo,“ to nie jest ono prawem *powszechnem*, jeno prawem cząstkowem, rządzącem ograniczoną epoką ewolucyi szatana w poezyi. Nie dość na tem jednak. Rzut oka na literatury pozaeuropejskie sprowadza tę regułę, *przepełnioną* i tak wyjątkami, do zera prawie. Bo oto Indye, klasyczna ojczyzna pesymizmu, Indye, których filozoficzne księgi wymienia jako źródła we wstępie do swego dzieła Schopenhauer, ten najgłówniejszy i najgłębszy propagator oraz kodyfikator europejskiego pesymizmu, zwany „Buddą zachodu“; Indye, gdzie przed setkami lat ludzie zaszli tak daleko w przeczeniu, że, obok głębokiej melancholii Bagawad-Gity, negacya i pesymizm Baudelaire'a wyglądają, jak dąsy pensyonarki obok łez, spływających po licu dojrzałego męża! I oto te Indye właśnie, gdzie wszystko oddycha pesymizmem, nie wydały nietylko *dodatniego*, ale nawet *potężnego* typu dyabła, lecz ledwo garstkę wątłych jak trzcina, nikłych, jak mgła, a złośliwych jak małpy, demonów, gdy pełna *optymizmu* życiowego Persya starożytna zrodziła równego Ormuzdowi i pełnego siły boga-Arymana, który miał wielu czcicieli w licznych sektach mazdeizmu. Że prawo ewolucyi dyabła powinno obejmować *wszystkie* literatury — tego dowodzić chyba nie potrzebuję. Już dawno przekonaliśmy się o tem, że etyka nasza, to — jak słusznie powiedział autor „Dumań pesymisty“ — jedynie etyka rasy białej i wyznającej chrystyanizm. W sądach estetycznych ten szeroki pogląd powinien także znaleźć zastosowanie nareszcie! Indye więc wpłynęły rzeczywiście na moje wnioski, ale wpłynęły dodatnio, gdyż uchroniły mnie od błędu.

Nie mogę się również zgodzić na inne twierdzenie sz. kolegi, a mianowicie na to, że protestantyzm jest jakoby mniej dualistyczny od katolicyzmu. Chyba że p. Jellenta ma na myśli protestantyzm *nowoczesny*, racyonalistyczny, protestantyzm Schleiermachera, Neandra, Straussa, Baura, Feuerbacha itp. Rzecz jednak idzie o protestantyzm pierwotny, z którego czerpali natchnienie najwięksi poeci rasy germańskiej, o prawdziwy, twardy, brutalny protestantyzm szorstkiego Lutra i zaciętego Kalwina. Niepodobna mi tutaj ze względu na czytelników, wdawać się w dyskusyę teologiczną, wolę więc odesłać ciekawych do dzieł, na których opierałem moje wnioski dogmatyczne. A więc najpierw słynna rozprawa Baura z Tybingi p. t. „Der Gegensatz des Katholicismus und Protestantismus nach den Principien und Hauptdogmen der beiden Lehrbegriffe,“ Tybinga, 1836 (specyal. str. 60—214 oraz 541—631); dalej Augusti: „Lehrbuch der christlichen Dogmatik“ oraz „Dictionnaire universel des Heresies des Erreurs et des Schismes“ par l'abbé Guyot. Tutaj przypomnę tylko to, na co powoływałem się w mojej rozprawie. Przyczynami wzmożenia się pojęć dualistycznych w krajach protestanckich były między innemi: po pierwsze: wpływ osobisty Lutra, który w pismach, czynach i rozmowach swoich szerzył wiarę w potęgę i wszechobecność dyabła (por. Luthers „Tischreden“ i studyum Micheleta o Lutrze); powtóre, zniesienie dogmatu o czyśćcu, co usunęło pośrednie *łagodzące* ogniwo pomiędzy niebem a piekłem i rozdzieliło ludzkość na dwa obozy: zbawionych i potępionych, czyli stanowiących własność dyabła. Wskutek tego najliczniejsza na świecie kategorya mizernych, drobnych grzeszniczków, dostępująca dawniej zbawienia za pośrednictwem pokuty w ogniu czyścowym, wpadła raz na zawsze w szpony szatana, którego państwo tym sposobem wzrosło. Po trzecie: zniesienie kultu Maryi oraz całej hierarchii innych świętych pośredników i opiekunów ludzkości, walczących z szatanem i osłabiających jego potęgę. Po czwarte nakoniec wpływ licznych starych sekt o dualistyczno-manichejskiem zabarwieniu, łączących się i zlewających z ogólnym prądem reformacyi. Dodać do tego można fatalistyczną doktrynę „łaski,“ zniesienie wielu sakramentów i t. p. Dowody zaś wzmożenia się potęgi dyabła po reformacyi są następujące: 1) Gwałtowny wzrost wiary w czarnoksięstwo i olbrzymia ilość procesów czarowniczych po reformacyi, oraz *przewaga* statystyczna *liczby wyroków*

śmierci na wiedźmy w krajach *protestanckich* w porównaniu z *katolickiemi* (porówn. Roscoff „Geschichte des Teufels,“ tom II, str. 865—437 oraz Wächter: „Vehmgerichte und Hexenprocesse“). 2) Fakt, że dyabeł potężny występuje nietylko *jedynie* u poetów *protestanckich*, lecz, co stokroć ważniejsze, że legendy *ludowe*, zrodzone w krajach, wyznających luteranizm i kalwinizm, dają nam poznać dyabła o wiele *potężniejszego*, niżeli baśnie ludów katolickich. Dyabeł ten atoli, aczkolwiek mocny i chytry, nie zawsze bywa, jak sądzi p. Jellenta, spiskowcem i buntownikiem, ale często występuje w charakterze krwiożerczego okrutnego satrapy, nadużywającego swojej władzy nad światem i ludźmi. Silnie zaakcentowana bezwzględność monoteizmu protestanckiego przyczyniła się więc tylko do większego i ostrzejszego uwypuklenia postaci ducha nieprawości, którą hierarchiczny ustrój nieba katolickiego umiał zharmonizować z całością (por. architektonikę „Komedyi boskiej“ Dantego). Jeżeli, wyrażając się słowami p. Jellenty, Bóg miał w protestantyzmie *monopol* — to tylko na „dobro“; ktoś więc, rzecz prosta, musiał mieć także *monopol* na *zło*, boć pomiędzy jednobóstwem *chrześcijańskiego* protestantyzmu a wyłącznym Jehowizmem żydów leżało morze nie do przebycia — morze krwi Zbawiciela.

Dalej, nie wszyscy, co „podnosili dyabła na piedestał,“ byli, jak twierdzi krytyk, *ateuszami* (Byron np. był deistą), a znowu nie wszyscy „rozjemcy,“ starający się pogodzić niebo z piekłem, byli prawowiernymi. Nie mówiąc już o de Vignym—który, jako notoryczny ateusz i szczerszy o wiele oraz głębszy od Byrona pesymista **), powinien był, według teoryi kol. Jellenty, stworzyć dyabła „prometeicznego,“ demona burzyciela i rewolucyonistę, a stworzył *melancholijnego szatana — Erosa*, zakochanego w anielskiej córce Zbawiciela — ale i Gautier, autor „Łzy dyabelskiej“ a przyjaciel satanicznego Baudelaire'a, nie miał więcej od niego wiary. Nie szło tu więc o związek genetyczny jednych z drugimi, lecz o fakt, że po wyczerpaniu się motywu deifikacyi szatana, nie było dla *nowatorów innej drogi*, jak wprowadzić go do nieba, czyli powrócić do tradycyi Scota Erygieny, gnozy, kabały a względnie panteizmu indyjskiego. Do zwrotu poezyi musiał się przyczynić nastrój filozoficzny epoki. Że zaś nowoczesna metafizyka europejska różni się tylko w szczegółach i metodzie, nie we wnioskach, od filozofii Upaniszad oraz Wedanty — tego chyba dowodzić nie potrzebuję! Moje więc powoływanie się na wpływy poglądów „dualistycznych“ i „monistycznych“ nie było tylko rzekomem podleganiem wpływowi literatury indyjskiej, lecz po prostu skonstatowaniem rzeczywistego faktu, że, gdziekolwiek ludzie widzieli w świecie dwie wrogie sobie potęgi, tam mógł się rozwinąć w poezyi dyabeł potężny, gdzie zaś panowała wiara w wewnętrzną jednolitość istoty świata (monizm) — tam dyabeł karlał i marniał. Tego dowiodłem faktami. O szerszej a zarazem zgodnej z prawdą syntezie niepodobna myśleć dopóty, dopóki Europa nie zapozna się dokładnie z ewolucyą literacką i artystyczną innych części świata. Że zaś doktryny, budowano dedukcyjnie i posługujące się faktami, nie jako materyałem, lecz jako ilustracyą tylko, prowadzą, nawet genialnych badaczy, na bezdroża, świadczą niektóre ustępy prześlicznej „Historyi literatury angielskiej“ Taine'a. Dlatego, żeby nie popsuć jednolitości obrazu, musiał on np. przemilczeć zupełnie o takim poemacie, jak „Kain“ Byrona, a całego Shelleya zbył kilkoma stroniczkami! Swoją drogą, Taine pozostanie jednym z najznakomitszych estetyków i filozofów, a arcydzieło jego niedoścignionym wzorem dla krytyków. Pragnąc się jednak czegoś nauczyć od mistrzów, należy pamiętać nietylko o ich zaletach, ale i o błędach!

Ignacy Matuszewski.

*) Dość porównać Teofilusa, Twardowskiego i Maya Cypryana z „Volksbuchem“ niemieckim o Fauście. Por. także Kiesewetter „Faust in der Geschichte und Tradition.“

**) Bojowniczy pesymizm Byrona wygląda niekiedy jak zamaskowany optymizm. Pesymizm *istotny* dąży do kwietyzmu i obojętności, a Byron miał ideały, wierzył w nie, walczył i umarł za nie (por. *Ateneum*, nr. 11 r. b., zakończenie pięknego studyum o Shelleyu przez N. Hirszbanda).

Szanowny Redaktorze!

W n-rze 46 ym pisma Pańskiego w przypisku do artykułu „Odpowiedź p. Czernemu“ p. Nałkowski zamieścił przeciwko mnie zarzut z powodu, żem odmówił przyłączenia do drugiego wydania „Geografii rozumowej artykułów polemicznych, których *część* stanowi drukowana w *Prawdzie* „Odpowiedź p. Czernemu.“ Zarzut ten jest najzupełniej niesłusznym i dlatego zmuszony jestem sprawę tę rozjaśnić. Przedewszystkiem zaznaczam, że w umowie naszej z d. 23 lutego r. b. co do drugiego wydania „Geografii“ zobowiązałem się przedrukować pierwsze wydanie *z potrzebnemi dopełnieniami* — to jest z dopełnieniami w treści naukowej dzieła, które najskrupulatniej pomieściłem; następnie, że na zapytanie p. Nałkowskiego z powodu pominięcia owej przedmowy polemicznej — natychmiast odpowiedziałem, wskazując w razie jego żądania warunki rozwiązania umowy, że zatem o zwłoce z mojej strony mowy być nie może; nakoniec, że przedmowa, a raczej dodatek polemiczny p. Nałkowskiego zawierał oprócz odpowiedzi p. Czernemu, drukowanej w *Prawdzie* z pewnemi złagodzeniami, jeszcze cały szereg innych polemik, wymierzonych przeciwko krytykom swoim, a zredagowanych w formie zbyt ostrej i najzupełniej dla podręcznika naukowego nieodpowiedniej.

Jako wydawca dzieła p. Nałkowskiego, pragnąć tylko mogę, aby jak najrozgłośniej odparł czynione sobie przez krytyków zarzuty, nie mniej przeto sądzę, że repliki powinny być zamieszczane w poważnych czasopismach, zkąd dojdą do wiadomości publicznej, a nie obciążać niepotrzebnym balastem samo dzieło, które jest z woli samego autora podręcznikiem naukowym dla młodzieży, a nie zbiorem artykułów polemicznych.

Mniemam więc, żem rzeczywiście *roztropnie* i z korzyścią dla dzieła p. Nałkowskiego postanowił. Czy zaś jego zarzut na to miano zasługuje, czy jest słuszny i sprawiedliwy — do sądu rozważnej publiczności pozostawiam.

Spodziewając się, iż Szanowny Redaktor te kilka słów wyjaśnienia w swem piśmie zamieścić raczysz, łączę wyrazy wysokiego szacunku.

Teodor Paprocki.

PRASA RUSKA.

Teatr. Gazeta podaje następujące uwagi głośnego malarza Riepina o Matejce i jego działalności (według *Kur. warsz.*):

„Malarze krakowscy opowiadali mi, że Matejko był dumny i nieprzystępny, znajdując się pod wpływem swojego sekretarza, który różnił go ze wszystkimi. Raz nie wpuścił do swojej pracowni nawet zmarłego następcy tronu austryackiego, podróżującego *incognito*. Małego wzrostu, z dużą głową, Matejko był słaby i chorowity. W ostatnich czasach ledwo chodził. Życie jego rodzinne nie było szczęśliwe.

Według opinii młodych malarzy, szkoła malarska w Krakowie, na której czele stał Matejko, nie należała do pierwszorzędnych. Mówią o niej z dobroduszną ironią, nie chcąc ubliżać pamięci mistrza.

Wielki malarz polski malował, malował i jeszcze raz malował swoje obrazy, nie chcąc wiedzieć o niczem więcej. Zapominał nietylko o szkole, lecz o jedzeniu. Palił tylko swoje ulubione grube papierosy „z dobrego i mocnego tytoniu“ — jak opowiadają malarze — palił wciąż i wysuszone dymem usta odwilżał czarną kawą. To było prawdopodobnie i przyczyną jego przedwczesnej śmierci: nadmierna praca i zatrucie nikotyną.

Matejko zachodził czasem do szkoły i stosownie do usposobienia mówił coś do uczniów. Szkoła wogóle prowadzona była niedbale, nikt zaś nie śmiał robić uwag znakomitemu olbrzymowi w malarstwie. Tymczasem francuski *plein-air* i impresyonizm torował sobie coraz bardziej drogę i zdolniejsze siły uciekały do Paryża. *Plein-air* posunął znakomicie sztukę w ciągu ostatnich lat dwudziestu, a pod tym względem Matejko był zacofanym. Pamiętam jeszcze w r. 1875 na wystawie w Paryżu ogromny obraz Matejki. Płótno to nie zrobiło już wrażenia na paryżanach i wśród innych obrazów wydawało się jak stary gobelin.“

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Wszystkie przedsiębiorstwa akcyjne otrzymały zawiadomienie, iż członkiem rady i zarządu nie może być jedna osoba. Od 13 stycznia r. p. zajmujący naraz dwie posady muszą pozostać przy jednej tylko.

— Przyjęto zapis Aleks. Popławskiego 1000 rs. na rzecz Towarzystwa ogrodniczego w Warszawie dla założenia Muzeum ogrodnictwa, albo też na inny cel pokrewny.

— Senat skazał redaktora *Graždanina*, ks. Meszczerskiego, na 10 dni aresztu na odwachu, zamiast na miesiąc (wedle wyroku izby sądowej) za dyfamacyę b. pomocnika gubernatora wojennego semirjeczenskiego, Aristowa. Senat odrzucił skargę o dyfamacyę, a skazał tylko za potwarz w druku. W sprawie o dyfamacyę lekarzy wojennych ten sam redaktor skazany został przez senat na 150 rs. kary (zamiast aresztu 6-tygodniowego).

— Zebrano już wszelkie dane o serwitutach włościan w gub. kijowskiej, wołyńskiej i podolskiej. Dla umów polubownych oznaczono termin pięcioletni, poczem rozgraniczenie będzie przeprowadzone drogą przymusową. (*Peterb. wied.*).

— W gub. piotrkowskiej sprzedano kilka majątków włościanom dla rozparcelowania.

— Towarzystwo subjektów handlowych w. mojż. w Warszawie postanowiło rozszerzyć działalność wydziału biura dla poszukujących pracy. W tym celu zaprosiło do udziału ludzi, których wpływy i praca zaważyć mogą.

— *Now. wr.* pisze, iż w św. Synodzie w Petersburgu utworzono specyalną komisyę, która ma opracować zasady przyłączenia starokatolików do kościoła prawosławnego.

— Według spostrzeżenia *Kuryera warsz.*, założone od roku tanie kuchnie i herbaciarnie ludowe „oprócz znaczenia hygienicznego, wywarły już wpływ umoralniający na ludność roboczą.“ Dawniej posilała się ona w bawaryach i szynkach; obecnie zakłady te coraz bardziej znikają tam, gdzie są kuchnie ludowe.

Szkoły. Powstanie kilka nowych szkół felczerskich dla kobiet, ze względu, iż w szpitalach żeńskich obowiązki felczerów będą powierzone w przyszłości wyłącznie kobietom.

— Na przyszły rok w wielu szkołach elementarnych, których nauczyciele znają ogrodnictwo lub pasiecznictwo, będą zaprowadzone dla uczniów praktyczne zajęcia sadownicze i pszczelnicze (*Kuryer warsz.*).

— Według rozporządzenia ministeryum, uczniowie szkół żydzi z okręgu odeskiego (zapewne i z innych) nie mogą przyjeżdżać do Petersburga osobiście dla składania podań o przyjęcie ich do wyższych zakładów naukowych, gdyż się narażą na wydalenie z miasta. Wolno im posyłać podania za pośrednictwem miejscowej władzy naukowej i dopiero po uzyskaniu przychylnej odpowiedzi mają prawo przybyć do stolicy.'

Zdrowie publiczne. Władze powiatowe postanowiły przyjść z pomocą instytucyom miejskim przy przestrzeganiu czystości nabiału, dowożonego przez włościan na targi warszawskie.

— Skutkiem pomyślnego stanu zdrowotnego w okolicach Warszawy, postanowiono zamknąć baraki, szpitale miejskie i ambulansy dla cholerycznych.

— Osada Krasnobroda w gub. lubelskiej pow. zamojskim i powiat sandomierski (gub. radomskiej) uznano urzędowo za dotknięte cholerą.

— Dn. 24 listopada w szpitalach warszawskich było na kuracyi 4 osoby, dotknięte cholerą.

— Na Szląsku pruskim wybuchła cholera.

— Na 21 dokonanych analizach mleka w Warszawie wykryto 184 kwarty produktu zafałszowanego.

Wystawy i zjazdy. Między 5 a 11 stycznia r. p. od będzie się zjazd lekarzy i przyrodników w Moskwie.

— Zapowiedzianą wystawę w Brukselli odłożono do r. 1896.

Dobroczynność publiczna. Tania kuchnia w Łęczycy cieszy się powodzeniem i poparciem ogółu.

— Mieszkańcy Łodzi urządzają okolicznościowy bazar dobroczynny.

Bibliografia. S. Piotrowski, *Syndykaty przemysłowe*, str. 73, Warszawa, Wende.

— *Encyklopedya rolnicza*, wyd. przez Muzeum przemysłu i roln. zeszyt 28.

— Dr. J. Kramsztyk, *Przyczynek do sprawy wyjaławiania mleka*, sterylizacya czy pasteryzacya, str. 17, odbitka z „Medycyny.“

Odpowiedzi Redakcyi.

Autorowi „Ostatniego śniegu.“ To jest nic.

Panu J. Rad. w Petersburgu. Numery z r. 1882 wyczerpane, z r. 1892 — po k. 20.

Bukaj. Wiersz pański nie dla nas, a zdaje się, że i poezya nie dla Pana.

Stałemu prenumeratorowi. Uprawnionem zwyczajowo jest: „wmawiać w siebie“; wyrażenia jednak „wmawiać sobie“ nie uważalibyśmy za błędne.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 19 Ноября 1893 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.